Numer 21. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 20 Maja 1928



ROLA

KRAKÓW,
ulica św. Tomasza
32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Syn przyjechał z większego miasta rodzinę odwiedzić i opytuje się co słychać nowego.

Matka z wielkim żalem:

— A wiesz synu, że ciotka umarła.

Syn: — Nie wiem, skądże mam wiedzieć, a czy mama była na pogrzebie?

Matka z wielkiem niezadowoleniem:

— Nie byłam, bo mi nie dała znać, że umarła.



Stała moda.

Moda jest zmienna: wiosną zimą, latem
Inny krój sukni, zarzutki, tużurka.
Niezmienna tylko dopóki świat światem
W tem: że z... guzikiem spiąć się musi —
dziurka!...



Między sąsiadkami.

— Wszyscy wiedzą, że pani jest dziadówką! Ho, ho, co tygodnia chodzisz pani do banku zastawniczego, aby coś zastawić.

Młody prowizor farmacji pobrawszy należytość za receptę w kwocie 2 zł. i 5 gr., z przerażeniem spostrzega, że otrzymał dwuzłotówkę fałszywą. Zwraca się więc do swego szefa, przepraszając go, iż naraził go na stratę. A na to szef:

— Czy przynajmniej ta pięciogroszówka jest prawdziwa?

— Prawdziwa.

— No, to niema powodu do zmartwienia. I tak jeszcze mamy na tej recepcie trzy grosze zysku...



Niewykonalne.

— Mamusiu, ja nie znoszę tego Janka; to wstrętny, obrzydliwy chłopak!

— Nie można tak mówić, Stasiu, przecie już pismo święte mówi o tem, byśmy wszystkich kochali.

— To prawda, mamusiu, ale wtedy, kiedy to napisano, Janka nie było jeszcze na świecie.



Żony.

— Żona twoja powiada, że zrobiła z ciebie człowieka. Moja tegoby nie powiedziała.

— Nie, twoja mówi tylko, że się starała...

Numer 21. XI. Rok Kraków, dnia 20 Maja 1928.

ROLA

Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Maj miesiąc miłości i kwiatów.

Najrozkoszniejszym bezwątpienia ze wszystkich miesięcy w ciągu roku jest maj. Jest to miesiąc miłości i kwiatów. Sady, łąki i pola mienią się przecudnemi barwami najrozliczniejszego kwiecia, a z piersi wydziera się hymn dziękczynienia ku Stwórcy, który ten szary świat ubrał taką mozaiką przepięknych kolorów. A nietylko łąki i pola kąpią się w barwnem kwieciu, ale zobaczysz to cudo przyrody i na ołtarzach Pańskich, w i salonach bogaczy, i w wiejskich chatynkach dookoła obrazów i na skromnych drewnianych stolikach. Bo to miesiąc kwiatów, kwiatów i miłości.

Bo w czasie, kiedy cała przyroda kąpie się w stubarwnym kwiecie, dusze ludzkie przepełnia jakieś nadziemskie uczucie i ku Stwórcy wszechrzeczy i ku Jego stworzeniu, które rwie się do nowego życia i już samem swojem istnieniem głosi chwałę Pana nad pany. W maju przepełniają się świątynie, a w nich rozbrzmiewają radosne pieśni miłości ku Tej, która była Matką Syna Bożego, która narówni z Nim cierpiała, aby ludzkość wyswobodzić i do chwały wiecznej doprowadzić. Cierpiała z miłości dla ludzi i żąda od ludzi dla siebie nic więcej tylko tej miłości wielkiej i niczem nieograniczonej. To też w miesiącu maju otrzymuje jej najwięcej w modlitwach serdecznych i w radosnych pieśniach, rozbrzmiewających po kościołach i u Jej figur przydrożnych.

W miesiącu maju składamy u stóp Marji pęki kwiecia, bo kwiaty są radością naszego życia i obrazem szczęścia naszego. Czy wyobrażacie sobie Kochani Czytelnicy życie bez kwiatów? Jakiż smutny byłby to obraz! Zdaje się, że nie bylibyśmy tak przywiązani do naszej ziemskiej doliny, straciłaby ona powab dla nas niezawodnie i mniejby było amatorów, jak dzisiaj, do przedłużania sobie wszelkiemi sposobami dni naszej doczesnej pielgrzymki. Opatrzność przewidziała to nasze usposobienie, czy wlała je umyślnie w dusze nasze i nawiązała nić nierozerwalnej sympatji pomiędzy życiem naszem a życiem kwiatów. Widoczne jest nawet najwyraźniej pokrewieństwo uczuć naszych i kwiatów.

Z jakiemże naprzykład upodobaniem stroi skromna i czysta dziewica skroń swoją wiankiem konwalji, temi kwiateczkami pierwszej wiosny, niezrównanej białości wnętrza! Czyż główki tego kwiatu skromnie zwieszone nie przypominają dziewiczego czoła? A te serduszka lekko zamknięte, z odbiciem majowej zieleni wewnątrz, ten cień dużych macierzystych liści, pod którym wykwitają, a woń, która ma znaną własność uspakajania zbyt silnych uderzeń serca... Ileż podobieństwa z pierwszą wiosną dziewicy!

A znów z drugiej strony ponsowy goździk z swym silnym, pieprznym zapachem, czyż to nie obraz młodzieży, żądnej rozkoszy tego świata? Pyszna, złota orchidea to kobieta pragnąca hołdów i bogactw.

Róża to kwiat miłości. Co w sercu tkwi, a czego usta wypowiedzieć nie mogą, to wypowiada osobie drogiej ofiarowana róża... Niezapominajka jest kwiatem pamięci, a fjołek skromności, zaś lilja niewinności.

Zresztą poco tu przytaczać znaczenia wszystkich kwiatów, kiedy zna je każde niemal dziecko, dość zaznaczyć jest to coś tak rozkosznego, tak żywego, że często mamy ochotę pieścić je tak, jakby były czujące i myślące, jak my, istoty.

Kwiaty uprzyjemniają nam życie, wznoszą myśl ku Bogu i rodzą w sercach naszych miłość tak ku Stwórcy wszechrzeczy, jak i ku Jego stworzeniom. Kwiaty wypleniają zawiść serc naszych, a uczą nas miłości, której nigdy niemasz zadużo na świecie!

W niewoli tatarskiej.

Powieść z XVI wieku osnuta na tle historycznem

Tymczasem Beppo z trzema innymi poszedł już był chyłkiem ku miejscu, gdzie się znajdowała zwykle uczepiona łódź i spodziewaliśmy się, że niezadługo przybiją do brzegu od strony kopalni, aby nas z sobą zabrać i puścić się na morze. Spokojne ono dziś było, Bogu dzięki, bo inaczej jakże się puszczać na bezdenne głębiny w wątłej łodzi, która, jak łupina z orzecha, o skały rozbić się mogła? I teraz rachowaliśmy na biegłość marynarską niektórych towarzyszy, aby się prześlizgiwać między rafami nadbrzeżnemi.

Czas mijał, a Beppa i łódki upragnionej jakoś widać nie było; serce mi jak młotem biło w piersi, ale uspokajałem towarzyszy i Leszka, który, drżąc ze wzruszenia, tulił się do mnie. Wreszcie cichy plusk wioseł odbił się o uszy nasze: To on! już się zbliżają, już są przy brzegu i Beppo wyskakuje na ląd. Szybko, urywanemi słowy opowiada, że przybywszy na miejsce, łodzi nie znalazł, korsarze ją widać zabrali, musiał szukać dłużej; już upatrzyli drugą, gdy straż tam postawiona zawołała na nich, czego chcą? I tym razem przytomność umysłu Beppa pozwoliła im się wywinąć z tej matni tak, że sami strażnicy, nie znając ich, dopomogli łódź odczepić, ale niestety! łódź ta o wiele mniejsza od tamtej, nie wiadomo, czy dziesięciu ludzi zmieści!

Tu dopiero wzburzenie, nikt nie chce zostawać, wszczyna się spór, zaciskają się pięści, gniewne słowa lecą, a tu czas uchodzi i lada chwili możemy być wyśledzeni... Naturalnie chciano zostawić owych dwóch ostatnich więźniów, którzy nawet nie pracowali nad podziemiem, ale ci błagają, żeby ich nie porzucać; jeden żonę i dzieci przypomina, drugi miał być odesłany do pułków janczarskich, więc wszelkiemi siłami chce się ratować. Cóż robić? Czyż wszyscy mamy ginąć przez upór, tyle przeniósłszy i przecierpiawszy? Przemówiłem raz i drugi, ale napróżno; już się dwóch majtków porwało za barki, a kłótnia coraz gwałtowniejsza wybucha. Niema ratunku! wyciągnąłem rękę i mocnym głosem nakazałem milczenie, poczem zwracając się do Beppa, który był jakby wodzem na łodzi, rzekłem:

— Bóg mi świadkiem, że czekałem tej chwili, jak zbawienia prawie i wszyscyśmy jej również czekali; teraz zgubimy się dobrowolnie. Widzę, że innej rady teraz niema; mamy ginąć wszyscy, to niech lepiej ja ginę. Zostaję tutaj, wy płyńcie; kto jeszcze ze mną?

Beppo zaklął straszliwie.

— To być nie może! Ja łódź zatopię, a bez ciebie nie jadę!

I znowu wahania, spory, groźby. Wreszcie wezwawszy Boga na pomoc, oddałem im w opiekę Leszka, który także z początku porzucać mnie nie chciał i odszedłem kilka kroków, a tu już i krzyk jakiś na wyspie słychać było.

— Na miłość Boga, nie tracić czasu — mówię drżącym głosem ale stanowczo — ja zostaję, płyńcie natychmiast.

— I ja z wami, panyczeńku! — I obok mnie stanął poczciwy Maksym, i on nie miał nikogo bliższego na świecie... Za chwilę łódź odbiła od brzegu, a w samą porę, bo na wyspie wszczął się rozruch. Spostrzeżono widocznie, że coś się dzieje niezwykłego i zaczęli z pochodniami uwijać się Turcy, ale nie wiedzieli, w którą stronę się udać. Tymczasem łódź mknęła szybko po fali.

Patrzyłem daleko w ciemności, jak gdyby oko moje mogło przebić grube zasłony, wszystko kryjące i znowu, znowu czułem się sam, opuszczony... Leszek, którego pokochałem jak brata, stracony dla mnie, a z łodzią, która go uniosła, uciekła też nadzieja swobody, lepszej doli. Ale czułem, że postąpiłem uczciwie. Gdyby nie moja ofiara, byłoby gorzej jeszcze, bo nikt nie chciałby tu pozostać i cała wyprawa, z takim mozołem przygotowana, zeszłaby na nic. Maksym poczciwy wyrwał mnie z tej bolesnej zadumy i potrącił z lekka w ramię, kiedy jak martwy leżałem na twardym głazie nad brzegiem.

— Co teraz będzie? — pytał — i prawda, co teraz począć? Po krótkiej naradzie postanowiliśmy, póki jeszcze trwa nocy ostatek, prześlizgnąć się do jaskini naszej i odwaliwszy jej kamień, wejść do wnętrza, zakryć jak można było najlepiej otwór podziemny, a wreszcie rzucić się na posłanie, jak gdybyśmy o niczem nie wiedzieli.

— Jakto! wykrzyknął Jurek — i tak sami wracaliście do paszczy tego potwora! Czyż nie lepiej było stać nad brzegiem i szukać jakiego sposobu ucieczki?

— To by się na nic nie zdało teraz; po wybrzeżu krążyli ludzie ze światłem, szukając zaginionej łodzi i baczność była obudzona, a pochwyciwszy nas na wolności, byliby nas ci ludzie zamordowali natychmiast, a przynajmniej okrutnie pokaleczyli. Postanowiliśmy udawać śpiących i jak gdyby upojonych, a nie wiedzących o niczem.

Dzieweczki płakały, słuchając tego opowiadania, tak im żal było brata, któremu już po raz drugi przychodziło dobrowolnie prawie wyrzekać się swobody. Bohowitynowa z dumą i rozrzewnieniem patrzyła na syna.

XV.

Rabusie oszukani. — Na wodzie. — Galernicy. — Burza. — Rozbicie.

— Już nie wiem, dobrodzieju, mój — odezwał się się nazajutrz Gozdawa — jakim sposobem waść wyszedłeś kiedy z tej niewoli. Myślę, że już wkońcu musiałeś się rozmiłować w tych bisurmanach i dlatego ich nie porzuciłeś. Jabym, panie, był porozbijał tych kupczyków i sam się, dobrodzieju mój, wpakował do łodzi, niechby robili, co chcieli.

Wszyscy się uśmiechali na takie wywody pana Gozdawy, Bohowitynowa tylko przez łzy na jedynaka swego spojrzała i rękę wychudłą na głowie mu położyła. Janek mówił dalej:

— Nad ranem, ledwie świtać zaczynało, stróże nasi ze strasznym hałasem wpadli do jaskini, gdzie my obaj z Maksymem leżeliśmy w kącie, mocno sapiąc, jak gdyby twardym snem złożeni. Rozbiegli się rabusie po kątach, krzycząc i klnąc po swojemu i wreszcie któryś z nich, potknąwszy się o leżącego na mchu Maksyma ,porwał go za barki i zaczął trząść, wołając, żeby się przebudził; ten jednak udawając nieprzytomnego, bełkotał naumyślnie jakieś niezrozumiałe słowa. Turcy nie wiedzieli sami, co myśleć, bo i ja musiałem śpiącego udawać. Napróżno nas trzęśli i szarpali, szukając innych, a nic się dowiedzieć nie mogąc. Uwierzyli zapewne, że tamci nas upiwszy, porzucili, pojąć tylko nie mogli, jakim sposobem głaz odwalony został. Posądzali jeden drugiego o pomoc daną niewolnikom, wreszcie pobili się między sobą okrutnie, a tymczasem nadpłynęły i statki korsarskie z nową zdobyczą.

Podziemie nasze ocalało, ale nie było nam sądzono korzystać z niego, na drugi dzień bowiem obaj z Maksymem, przykuci łańcuchem do galery, musieli-

śmy pełnić służbę wioślarzy. Ciężka to była niewola, a jeszcze okropniej pomyśleć, że będziem musieli niejako dopomagać do tych wszystkich rozbojów i złodziejskich wypraw rabusiów. Bóg nam jednak oszczędził tego nieszczęścia, korsarze bowiem zawinąwszy gdzieś na wybrzeże, sprzedali nas do kupieckiego okrętu tureckiego.

Tu, przykuci zawsze łańcuchem, ja i stary Kozak, druh mój, długie przeżyliśmy miesiące. Wiele przez ten czas zwiedziliśmy rozmaitych okolic, trudno mi opowiadać, bobym i za miesiąc nie skończył. Galera nasza zawijała do różnych portów, a my niewolnicy z daleka tylko patrzyliśmy na nieznane wybrzeża; to nam migotały w dali palmy afrykańskie, to znów zbliżaliśmy się do skał Gibraltaru, to stawaliśmy znów w jakim porcie francuskim, a potem wszystkie te obrazy z górami, lasami, pałacami znikały nam z oczu, jak sen, i znów płynęliśmy po szerokiem morzu.

Czasami w nocy, kiedy zabłysło gwiazd tysiące, zdawało się, że nad nami i pod nami Niebo złociste, a choć ciało łańcuchem było przykute, to serce nieraz się wznosiło do Boga i czułem, że jak dawniej w czarnych podziemiach, albo na tatarskim pustym stepie, tak teraz wśród morza ogromnego nie byłem sam.

I znów się budziła nadzieja, że kiedyś, kiedyś ten Bóg, co mię wspierał w tylu losu kolejach, ulituje się wreszcie i doprowadzi mnie do ziemi rodzinnej. A może znów nie bez celu, zostałem rzucony na tę galerę turecką i tu bowiem znalazłem towarzyszy rodaków; prócz Maksyma i mnie dwóch młodych Ukraińców zastaliśmy między wioślarzami galery. Z tymi długie tocząc rozmowy o kraju rodzinnym, o wierze naszej i mowie ojczystej, umacnialiśmy się nawzajem na duchu i zachęcali do wytrwałości; a wieczorem znów brzmiała pieśń „Bogarodzico“ i tak jak dawniej wielką nas napełniała otuchą. Kiedyś, pamiętam, wiosłując, podniosłem wzrok ku Niebu, a tu widzę stado bocianów, co wysoko ponad morzem ku północy lecą, rozwinąwszy skrzydła, lecą tam daleko, do ojczyzny mojej! I oczy mi się napełniły łzami i zerwałem się na nogi, ale brzęk łańcucha przypomniał, żem w niewoli. Przemyśliwaliśmy też nieraz, jakby się z tej niewoli wydobyć, ale to już wydawało się niepodobnem, bo gdyby nawet jaka siła nadludzka twarde nasze okowy skruszyła, trzebaby chyba ptakiem wylecieć, jak te białe mewy, co krążyły czasami nad statkiem naszym. Ale właśnie, kiedyśmy się tego najmniej spodziewali, przyszło uwolnienie w dziwny i cudowny prawie sposób, a jak się to stało, opowiem.

Wracając z odległej wyprawy ku wybrzeżom Afryki, wpłynęliśmy właśnie na ciche wody Archipelagu i znów, jak owej nocy, po mojem odpłynięciu z Krymu, przesuwaliśmy się pomiędzy licznemi wyspami, tym razem jednak ku północy się kierując, gdyż galera nasza do Saloniki zawinąć miała. Już niezadługo spodziewaliśmy się wpłynąć do zatoki Salonickiej, odgraniczonej od wschodu wielkim trójzębem półwyspu Chalcedonji, gdy nagle wiatr, dotychczas łagodnie ku północy nas popychający, zmienił kierunek i gwałtownie dmąc w żagle, począł nas zwracać ku wschodowi. Próżno się sternik wysilał, napróżno my wioślarze natężaliśmy wszelkie siły, burza coraz gwałtowniejsza, targała nasz statek i rzucała nas na wszystkie strony.

A miało się już właśnie ku wieczorowi, słońce, jakby krwią oblane, zapadało gdzieś daleko w morze, a fale, groźnie hucząc, piętrzyły się wokoło statku, niby potwory ogromne, które go chcą pożreć. A tu czarne chmury, kłębiąc się, zalegały widnokrąg i burza, tem straszliwsza, że niespodziana, rozszalała się na morzu, w morzu i powietrzu. Gromy huczały z daleka, a błyskawice jaskrawymi gzygzakami rozdzierały ciemność nas otaczającą. Niepodobna było walczyć z siłami przyrody, a znużone ramiona opadły nam bezwładnie.

Galera, miotana na wszystkie strony, niby wątła skorupka ,to się wznosiła na grzbiecie fali jakiejś olbrzymiej, to znów opadała w odmęty, zalana wodą. Pogasły wszelkie światła na statku i nic już nie było słychać, prócz ryku burzy, huku fal i straszliwych gromów, wstrząsających, zda się Niebo i ziemię. Straszne to były godziny, a jednak i wtedy serce moje wołało do tego Pana Wszechrzeczy, który poza rykiem burzy i trzaskiem gromów przemawia do duszy ludzkiej tak, jak wśród ciszy spływa do niej po srebrzystym promieniu miesiąca. Skuty łańcuchem, przywiązany do tej kruchej łupiny, co się już rozbijała o skały ostre podwodne, otoczony ciemnością przerażającą, czułem jeszcze, że mnie Bóg nie opuszcza i odzywałem się do towarzyszy, starając się im dodać otuchy.

Nie słyszeliśmy się prawie wśród łoskotu burzy morskiej, Maksym tylko, który był tuż przy mnie przykuty, żegnał się co chwila, a kiedy błyskawica, rozdzierając chmury, rozświetliła mi twarz jego, widziałem, że się modlił z głową wzniesioną. Inni już wpół martwi z przerażenia i grozy, leżeli na pokładzie, chwytając się masztów i lin porzuconych. Jak długo to trwało, nie wiem; wreszcie — trzask okropny, który się dał słyszeć nawet wśród burzy szalejącej... zimno oblewającej nas wody i... straciłem przytomność...

(Ciąg dalszy nastąpi).

O Jaśku Kochanicku.

Przezwano go tak zapewne dlatego, iż lubił się bawić i zawracać głowę dziewczętom. Jednak, prawdę rzekłszy, psuty był przez naród niewieści strasznie. Kochały go dziewczęta, kochały niewiasty zamężne. A była przyczyna ku temu, bo Jasiek urodny był na schwał, przytem gibki, wysoki, jak topola śmigły no i silny jak smok. Usta śmiały mu się zawsze i niejedno serce niewieście zaprzepaściło się przez niego na wieki.

On ta wiele nie dbał o miłosne rzeczy. Pośmiał się, pożartował, a czasem to i rad był miłosnej przygodzie, zwyczajnie jak chłop.

Aż i na niego przyszła kreska. A było to tak.

Idzie raz Jasiek z odpustu, podśpiewuje sobie wesoło i gdyby nie ludzie, pewnieby tańczył po gościńcu „zbójnickiego“. Patrzy, siedzi pod drzewem młode dziewczę i je placek. Ładna była, oczy miała jak niebo a usta jak maki. Nie znał jej, przystanął i pyta:

— Hej, cudaśna co tu robis?

Roześmiała się radośnie i ukazała Jaśkowi zęby białe jak perły.

— Siedzem se, bo me nogi bolom.

— Dalekos idzies?

— Do doma.

— Bajos me. Kaz twój dom?

— Bez coz mam ci to rzec, kiedyk mi sie nie fce?

Zdumiał się Jasiek, bo ano po raz pierwszy w życiu zdarzyło mu się, że kpiła z niego dziewczyna.

— Rzec mi dzie, odprowadzem cie.

Roześmiała się znów wesoło a tak wabliwie, że Jaśkowi ckliwo się zrobiło.

— Bez coz to zartujes ze mie dziewce?

— E... e... dobre mi tu beło bez ciebie. — Odrzekła, nie odpowiadając na pytanie.

Daremnie zagadywał, chcąc się dowiedzieć coś o niej. Ledwo dowiedział się, że jest proszona na wesele Kasi Jarosówny, gdzie i Jasiek miał być, jako że był dobrym tancerzem.

— Me jest Jasiek, a ty jak się zwies?

— Jadwiga. Coz, nie pieknie?

— O hej, pieknie. Pieknaś i zwies sie pieknie... — to mówiąc, objął ją nagłym ruchem i niespodziewającą się pocałował w same usta.

Jak się Jadwiga nie odwinie, jak go nie praśnie między oczy!

— Bodajcie... sto djabłów! — wrzasnął Jasiek, dając gibki skok w tył.

Ona się już podniosła, podparła pod boki, dzierżąc w ręce spory kamień. Zła była, poczerwieniała i raz w raz tupała nogą.

Zaśmiał się Jasiek tak serdecznie, aże odpowiedziało mu echo z pobliskiego lasu.

— Śmiejes sie corcie zatracony, rus sie ino kapinecke a zaroz ci cisnem w łebe kamyckiem.

— Jadwiś, Jadwiś, srogaś straśnie, daruj ze mi. Do wesela Kaścynego nie pocałujem cie ani razu.

— Sto cortów zjes, nim me pocałujes. Hej! Całowania mu sie zachciało.

Nadjechała fura, którą powoził stary, siwy góral. Jadwiga skoczyła przed konie, zatrzymując wóz.

— Weźcie me ujku kawałecek. Bolom me nogi...

Jasiek patrzał za odjeżdżającą Jadwigą i uśmiechał się choć z oczu patrzył mu żal za odjeżdżającą dziewczyną. Zaciekawiła go bardzo swoją urodą a jeszcze więcej swoją hardością i nieprzystępnością, że hej! Oto pierwsza ona rozłościła się na niego za ukradziony całus. Inne to tam takie nie były... I tą swą opornością sprawiła tyle, że przez dwa tygodnie, to jest do wesela Kaśki Jarosówny, ni mógł spać, ni mógł jeść, ino ciągiem o Jadwidze myślał.

Jasiek stawił się na wesele ubrany cudnie. Pięknie wyszyte spodne miał, nowe kierpce, na ramieniu niedbale zarzuconą guńkę z fantazji i urody dodawał mu nowiuteńki kapelusz z mieniącem się pawiem piórkiem. Wiedział Jsiek, że jest ładny i przechadzał się butnie przed strojnemi dziewczętami, zaczepiał je oczyma, a gdy się odzywały, odpowiadał półsłówkiem albo ironicznym uśmiechem.

— Pawi sie Jasiek dzisia — mówiły dziewczęta.

A w Jaśka w parę chwil potem jakby piorun trzasł, gdy ujrzał Jadwigę. Stała oparta o płot, złoty warkocz poprzetykany był zielonemi wstęgami, pierś ujęta w obcisły stanik, uwydatniający śliczną figurę. Zamyślona była.

— Witajze Jadwiś... — rzekł wzruszony.

Odwórciła się ku niemu i rumieniec jak łuna wybiegł na białą twarz. Milczała.

— Coz, nie odpowies mi nic? Może sie gniewas?

— E... tak se ino stoje, na Janika Pendrasika cekom.

— O hej! Widziałek go za sopom z Maryną od Justyny.

— Niekze ta.

— Przyznej se Jadwiś ze na mie cekos.

— Godos tak, ze mi sie słuchać nie kce.

— Coz mam godać? — Zdumiony był.

— Nic. — Odwróciła się i podeszła do gromady dziewcząt.

A Jasiek się wściekł, tylko całkiem tego nie okazał. Postanowł dziś jeszcze na amen rozkochać w sobie Jadwigę.

I myśl swą zaraz wprowadził w czyn. Ujął ładną Marysie Kołkowską, muzyka zagrała skocznego i dalej w tan. Hej! Jak się też Jasiek począł nosić po izbie! Pomęczyli się inni, tańczyć przestali a oni dwoje hulali do zapamiętania i tylko po twarzy łuny im latały a oczy gorzały jak ognie. Marysine wstążki fruwały po izbie, Jaśkowe nogi migały niestrudzenie i kto wie, jakby długo tańczyli, gdyby zmęczeni już muzykanci nie przerwali grania.

Jasiek odgarnął ino czuprynę, wpadł między dziewki a zaczął żartować i przymilać się do każdej na sobie tylko znane sposoby, że wnet zrobiły koło niego zwarte kółko. Na Jadwige nawet nie spojrzał.

— Niek sie ta troszecke potrapi — myślał se.

Jadwiga stała w drugiej stronie izby. Lekka zmarszczka, może bezwiednie, ukazywała się na jej czole wtedy, gdy spojrzała w stronę Jaśka. Przystąpił do niej Jantek Pendrasik i rozpoczął pogawędkę. Uwidział to Jasiek i upatrzywszy stosowną chwilę, mrugnął na Jantka i wyszli razem na sień!

— Jantek, kości całe mieć kces?

— A bo coz?

— Od Jadwigi ci wara. Słysys?

— Djabli cy co. Telo mos dziwek, jesce ci sie Jadwigi zakciało?

— Niek cie ta głowa o moje dziwki nie boli. Wiela mom, to mom, moge mieć tyz Jadwige... bac, kości ci pogruchotom, łebe wykrence, jakbyś kole niej zachodzieł. Bedzies wiedzioł?

Podsunął mu pod nos wściekle zwarte pięści i zaraz skoczył w izbę, bo muzyka zaczęła grać. Złapał wpół Marysie, stanął przed myzyką i śpiewa.

Piekny jo piekny jo, kieby sarotecka
Co spoźry to zaraz kocho me dziwecka.
Ucha!

Jantek Pendrasik wiedzący z doświadczenia, jak twarde są Jaśkowe pięści, do Jadwigi więcej nie podszedł. Stała sama, radaby tańcować, z byle kim znów nie kce, a tu aż jom po nogach łaskoto z uciechy.

Koło północka Jasiek, chcąc całkiem oczarować Jadwige, pewny już swego, podciągnął lekko rękawy i sam jeden począł tańczyć „zbójnickiego".

Hej! Przestali rozprawiać, poprzysuwali się bliżej i patrzyli, patrzyli.

Cudnie tańczył Jasiek. Co skoczy to pod powałę, co wyrzuci nogę, to gibko a tak sprawnie, aż dech patrzącym zapierało. Taki zgrabny a ładny, że ino przytulić... ciupagą to tak wywijał, aż się łyskała w świetle. Widać, duszę całą włożył w ten taniec, w swoim żywiole się czuł. A trzeba wiedzieć, że „zbójnickiego" najlepiej tańczył na całem Podhalu.

Ej wiedział Jasiek, co robi. Zmiękło serce Jadwidze i smutna wysunęła się z izby, oddaliła nieco od pełnej gwaru i muzyki chaty, schowała pod smreki i ni stąd ni zowąd popłakiwać poczęła.

— Ślicny beł, ślicny je a cudnie tańcy a bawiłabyk sie, bo kcioł a winnak ja sama, ze płace... — szeptała, czując, że pokochała Jaśka.

Orle oczy Jaśka nie dostrzegły w izbie Jadwigi. Zobojętniawszy naraz na wszystko wypadł w sień, potem na pole i tak skrzętnie szukał, aż znalazł.

Bez słowa pozwoliła się utulić.

Hej! Radowało się serce Jaśkowe, radowało z tej przemiany. Co prawda sam kochał ją mocno, życzył sobie być przez nią kochanym i oto stało się zadość jego pragnieniu.

Zcałował łezki z zapłakanych oczu a potem, całując maki jej ust, spytał:

— Wydos sie za mie Jadwiś? Kochos me, mojaś?

— Twojak Jasicku, twoja...

Nad niemi błyszczał przepych gwiaździstej nocy i szumiały uroczyście wyniosłe smreki. *Orlica.*

HETMAN REWERA POTOCKI NA DZIKICH POLACH.



Któż z naszych Czytelników nie zna przepięknej powieści Henryka Sienkiewicza p. t. „Ogniem i mieczem". Dobrze tkwią nam w pamięci jego cudowne opisy zmagań się naszych praojców z krwawym najazdem Kozaków pod wodzą Bohdana Chmielnickiego na ziemie polskie. Wiemy, że w rezultacie wojna ta zakończyła się dla Polski dość pomyślnie, ale początki jej były bardzo smutne. Oto zaraz na wstępie wojska polskie poniosły straszną klęskę, a obaj hetmanowie Stanisław Rewera Potocki i Kalinowski po przegranych bitwach pod Żółtemi Wodami i Korsuniem dostali się do niewoli kozackiej. Na obrazku naszym widzimy pochód rycerstwa polskiego, zdążającego na Dzikie pola przeciw Kozakom pod wodzą hetmana Potockiego.

Kaśka Myrdalonka gada:



Chwała Bogu, ze się na polu tak pięknie rozzieleniło, bo choć ziąb strasecny od samego początku maja rozpanosył się na świecie, to przecie jakosik milej człowiekowi, kiedy ślipia w trawę wrazi i swizą parą odetchnie. Ino się trawa za stodołą pokazała, zaraz z niej skorzystałam, udarłam jej wiechetek i zatkałam gębę Maćkowi, coby se krzynkę do Zielonych Świątek odpocął, a mnie pozwolił se z wami pogadać. A przyda mi się to, przyda, bo mi juz język zacął w paji rdzewieć, a ni mam sobie go na kim zaostrzyć. Bo to człowiek zyje w panieństwie, jak nieprzymirzając ten plebański pies. A panienka, jak ni ma swojego rodzonego pośturchańca, to amen. Wsiądzies na cudzego z jęzorem, to on się od ciebie na lewo obróci, a jak się nie obróci, to ci jęzor na styry łokcie pokaze i gadajze tu do niego. Swój to co inksego. Nie spyskujes go rano, to oberwie mu się w połednie, umknie w połednie, dopadnies go wiecorem, a gdby nawet wiecór nierychło do chałpy przysed, to zostaje jesce noc i mozes się tyle nagadać, jaz się pierzyna będzie rusać.

Latego tez i ja od samego urodzenia o swojem chłopie ciągiem myślę, a tu jakby się cosik uwzięło, niema się za kogo wydać. Jagem miała szesnaście roków, to mi się widziało, ze mi się zaden nie podoba a miałam okrutecną łoskominę na jakiego hrabiego. W dwudziestem roku dobry byłby i rzońca, a w dwudziestem cwartem i łokonom byłby juz wystarcył, a gdy przysła trzydziestka, to i za karbownika byłoby się przelazło. Co prawda to przed dwudziestką to nie jeden karbownik byłby mnie brał, ale teraz to i karbownik nawet na mnie ogonem nie rusy. I nietylko karbownik, ale wszyćkie chłopacyska, jakby się zmówili, tak odemnie na styry wiatry stronią. A cy ja to nie urodna, a cy ja to kobyle z pod ogona wyleciała na przednowku, zeby mnie tak postponowali?!

Ale nie ino mnie takie niescęście spotkało, boć przecie wiadomo, ize wiele jest takich dzieuch i po wsiach i po miastach, co to, jak młode, to tego nie chcą, i tamten się jem nie podoba, ale same nie wiedzą, za kogoby się przesły. I tak cnota ich w staropanieństwie pleśnieje, ze jej potem nawet gracą trudno się dokopać.

Latego tez ja dzisiaj z tego świętego tu miejsca przestrzegam wszyćkie dzieuchy, aby, jak się jem ino jaki źgac trafi, niech go ręcami i zębami trzymają i zaraz do łontarza prowadzą, przed tem nic, aby jem nie ucik. Jak się go raz złapie, to juz przepadł na amen i mozes z niem wszyćko robić, co ino twoja rodzona dusa zapragnie.

O moiściewy! Jakby mi jesce tak Poniezus pobłogosławił i dał jakiego takiego obsturchańca, juzby ja wiedziała, co z niem robić! Jabym się mu nie dała rozpuścić na dziadowski batog, ale musiałby tak od rana do wiecora tańcować, jakbym ja mu zagrała. Ale gdzieby się ta chłop na babie dziś poznał! Dziś mają ino takie wzięcie, które nie zakrywają grzysnego cielska, ino nosą spodnice po pępek. Dziś kobita, ftóra ma cyste sumienie i spodnice po kostki, ni ma co robić na świecie. Dziś za takiemi z podstrzyzonemi pałami chłopaki się gzą, bo powiadają, ze taka, choćby juz nic insego bez cały dzień nie robiła, to przynajmniej wróble z prosa swoją cupryną będzie odganiała.

Ale przyjdą jesce takie casy, ze cnota będzie miała większe znacenie, jak podgolona pała, latego tez i ja się nie trapię i jak mogłam cekać na źgaca styrdzieści lat, to jesce drugie styrdzieści pocekać cierpliwie potrafię, cego i wam z całego serca zycę, amen.



Ostatnia noc sieroty.

I.

Było już ciemno, księżyc pomału wychodził z za lasu, rzucając wkoło blade światło i cienie. Dlaczego on dziś taki blady i zmienny? Któż to odgadnie? Cisza dokoła. Ale co to? Słuchaj, drzeszcze przejmują. Wsłuchaj się w głos słowika wsłuchaj w szemrzący wietrzyk, wsłuchaj się w fale wody. Wszystko dziś inaczej mówi, wszystko smutnie, wyciąga głowy do góry i szepcze „Bóg jest dobry, sprawiedliwy". Rozbrzmiewa dokoła „Bóg jest wielki".

Księżyc wypłynnął wyżej, ścieląc na ziemię swój całun biały, zda się mówić „Chwała Ci Panie". A chmurka, która na ten czas go zakryła, szumi „Wiecznie chwała Ci". Cisza wieczorna. Lecz co to? Ziemia drgnęła. O, Chryste! Jęk od strony cmentarza, jęk grobowy, głuchy, ponury. Przejmują dreszcze. Co to? Nad grobami cisza. Skąd wyszedł ten jęk? Cicho powoli drga czarny krzyż i podnosi się. A z grobu po raz drugi słychać bolesny jęk. Któż śmiał naruszać spokój umarłych, kto?

II.

— Jasiek, ty łotrze, czekaj dam ja ci, zabiję cię dziś jak psa. Tyś mi wyrwał kwiaty w ogrodzie. Krzyczała druga żona Klaudusa, bijąc i popychając sierotkę Jasia. — Jak śmiałeś wejść do mojego ogrodu bez pozwolenia mojego? Psie zatracony, wyrwałeś ostatek kwiatów.

Tu uderzyła go tak, że chłopczyna upadł na ziemię.

— Niedość, że ci daję jeść i odziewam, a ty mi będziesz szkody robił? Gdzieś podział kwiaty?

— Tam na górce, na mogile, mojej mamusi położyłem, tam na cmentarzu, pod czarnym krzyżem, tam leżą — mówi Jaś z płaczem.

— Ty smarkaty tam je zaniosłeś? Jutro święto, przyjeżdżają goście, a ja nie mam z czego zrobić bukietu na stół.

Znowu grad kułaków spadł na chude plecy sieroty.

Jaś zapłakał głośno.

— O, mamo moja, gdzieś ty? Czegoś odeszła od Jasia małego? Mamo chodź do mnie. Tyś dobra, pocoś odeszła?

— Stul pysk, chcesz, żebym ci poprawiła?

Złapała dziecko za rękę i wyrzuciła do sieni.

— Możesz się drzeć do rana, nie wiele mi na tem zależy.

Przeszła przez kuchnię i zamknęła się w izdebce.

— Doprawdy, że ta gospodyni to okropnie robi krzywdę Jasiowi — rzekła służąca, sama do siebie, myjąc naczynie. — Jak się Boga nie boi. Przecież ten cały majątek jest na Jasia. Nieboszczka matka, Panie świeć nad jej duszą, umierając, zapisała wszystko Jasiowi sierocie.

III.

Księżyc wypłynął na środek nieba, dążąc po swojej drodze, chowając się co chwila za chmury, śmiejąc się teraz. Czego on się śmiał w tej chwili? Czy drwił z niedoli ludzkiej, wyśmiewając ją? Czy urągał złości ludzkiej? Ale dlaczegóż się śmieje, gdy gorycz serce zalewa? Lubię twój uśmiech, gdy jestem szczęśliw, ale nie dziś — szemrze przyroda cała. Nie śmiej się okrutniku dziś, bo cię znienawidzę. Świat jest zawsze optymistą w szczęściu, a pesymistą w nieszczęściu.

W tejże chwili zakryła go chmurka. Nad grobami cisza. Jezu! Znowu jęk od wschodu, boleść ściska serce. Czarny krzyż się poruszył po raz trzeci. Nagle otwiera się grób — wychodzi z niego postać, jakby z tego świata, oczy otwarte, twarz blada. O nie, to pierś zimna, cała lodowata. To duch.

— Jasiu mój, kochanie moje — jęknęła postać.

I cicho płynie przez pola. Dokąd leci ten duch? Pytają gromady ptasząt. Dokąd leci ten upior? Wszystko pyta z przestrachem. Kto mu otworzył grób, pyta puszczyk z wieży kościelnej. Duch leci. Ale któż mógł naruszyć jego spokój? Biada temu, kto wydziera z grobu duchy — rzekła osika, trzęsąc się od strachu.

IV.

Czarna mała postać siedziała skulona, nad brzegiem jeziora. To był Jaś. Chude rączki złożył i modlił się.

— Mamusiu moja, weź biednego Jasia do nieba, do Jezusa i Matki Boskiej, tam do Aniołków. Tu mi źle, tu mnie biją za byle co. O, mamo chodź.

Jasiowi łzy zaczęły spadać na wychudłe jego policzki. Wietrzyk dmuchnął silniej, jakby chciał osuszyć jego łzy. Ale co to? Na środku jeziora jakaś postać przeźroczysta płynie.

— To mama moja.

— Jasiu mój — jęknął duch. Chodź tu do mnie, jam twoja mama, jam przyszła po ciebie, bo cię kocham.

— Pójdź za matką do nieba — rzekły lilijki wodne.

Duch matki chwyta duszyczkę Jasia i leci coraz to wyżej przed tron Sprawiedliwego.

Maryśka z Kamionki.

LUDWIK ST. UNSING. (Przedruk wzbroniony).

Getsemane.

Powieść biblijna.

Migotliwe światło oliwnej lampy, rzuciło drgający cień klęczącego Chrystusa, zsuwający się z postaci na postać. Niepokój ogarnął Judę, gdy cień ten na jego zniżał się nogi. Radby je wciągnąć lub zgubić, albo najlepiej samemu gdzieś zniknąć pod ziemią, gdyby taka rzecz była możliwą. Ale oto czuje łagodny chłód wody, delikatne dotknięcie ręcznika i gorący pocałunek złożony na stopie, który dreszczem przeleciał po ciele zatrzymując się w mózgu. I znowu to spojrzenie słodkie a świdrujące spoczęło na nim, a podziałało jak gwóźdź rozpalony. Instynktownie ukrył za sobą woreczek z zuzami, tym zdradzieckim skarbem, ciężącym jak ołów, a drugą ręką pochwycił kubek.

On jeden pił wino, pił ciągle.

Gdzieś w oddali ozwał się krzykliwy głos puszczyka, a Chrystus drgnął. Przypomniał sobie, że czas leci i zbliża się ta chwila straszna, na którą zgodzić się jeszcze nie może. Leci czas, z tą ciszą dzwoniącą, ach! jak bardzo leci... Z przed oczu duszy usunął się cały świat, znikł wieczernik i ta gromadka towarzyszy, a lęk się wtoczył, ciągnąc za sobą falę febrycznego zimna. Jak lawina. Z nadzwyczajnym trudem, opanował się po chwili, odstawił naczynie i godową szatę naciągnął, drżącą ręką zapinając klamrę u szyi... Potem usiadł na swojem miejscu, błogosławiąc chlebek i kubek wina, rozdał je gromadce jako Ciało swoje i Krew, przykazując tak czynić na swoją pamiątkę... I znowu falą smutku opanowany, skłonił głowę na piersi, czując jak przelatują dreszcze tej trwogi śmiertelnej każącej zwlekać jeszcze choć trochę i równoczesny ryk obowiązku, jako iść należy rychlej i spełnić ofiarę.

Ścieranie się dwu przeciwnych sobie uczuć poczęło Go męczyć nad wyraz i uczuł potrzebę wywnętrzenia się. Szukał wyjścia z tego labiryntu w którym motała się dusza choć wielka ale rzestraszona. Powiódł okiem po gromadce, będącej jeszcze pod wpływem udzielonego jej zlecenia i rzekł:

— Jeden z was mnie zdradzi...

Słowa były niespodziewane jak grom i w pierwszej chwili wywołały ogólne zaparcie oddechu. Juda oblał się szkarłatem i przerażenie odbiło się w źrenicy jego ruchliwego oka. Kolor tęczówki zmatowiał, a wargi zadrgały. Ale w następnej chwili powstał ruch, poczęto szeptać między sobą niespokojnie, poczem szept przeszedł w kłótnię.

Zebedeuszowy Jan, przed którym Chrystus nie miał tajemnic, ujął Mistrza za szyję i szepnął:

— Prawda li jest Panie coś rzekł?

Chrystus skinął głową.

— Tedy powiedz, który to z nas jest zdrajcą pana swojego?

Zawachał się Nazarejczyk chwileczkę. Ta chwileczka też była zwłoką, gdyż jeszcze jest obecnym. Z chwilą, gdy go wskaże, on wyjdzie i przywiedzie straże, a wtedy... Zabiło serce Chrystusa jak młotem i znowu cień trwogi przemknął po nim.

— Nie chce się dusza nagiąć, choć żelazem woli ją smaga. Nie chce, a jednak musi... musi! — Janie mój, prawdą jest com rzekł — mówił ledwie dosłyszalnym szeptem. — Ten ci będzie, któremu chleb w winie namoczywszy, podam.

Ujął chlebek, który drgał w palcach; położył go z powrotem, poczem znowu ujął.

— Jak ciężko rozpocząć dzieło, któremu Ojciec niebieski nie odjął nawet świadomości tego co będzie — westchnął w sobie i ułamał kęs. Cieszył się, że upłynie znowu chwila, nim nabiorą w kubek wina z amfory. Chwyta się bowiem skazaniec chwileczki drobniutkiej jak ziarenko piasku, bo i w niej mieści się zwłoka: cząstka ocalenia.

A Juda siedział pozornie spokojnie, walcząc z wewnętrznym rozstrojem i udając kłopotliwe zainteresowanie się zdradzając. Wytrzymać takie straszliwe naprężenie wewnętrzne i móc mu nadać cechę pozornego spokoju, jest pracą nielada.

Kropelki potu pojawiły się na czole Chystusa, gdy powstał i rękę z chlebem namoczonym, wyciągnął w kierunku zdrajcy. Odebrawszy ów kęsek, włożył go w usta, nadając oku wyraz zaciekawionego pytania. Czuł dobrze znaczenie tego ułamka chleba, przeto gra zewnętrzna oka i całej jego postaci, wymagała ogromnego natężenia woli, aby się nie zdradzić i większym sromem nie okryć.

Nabrawszy tchu w piersi i ujmując głosowi drżenia, powiedział Chrystus:

— Judo! Cokolwiek masz uczynić, czyń zaraz! Te znaczące słowa, złagodził natychmiast, dalszem powiedzeniem:

— Nakup, co będzie potrzeba, abyśmy jutro niecierpieli głodu!

Naprężenie nerwów Judy tak było ogromne, że potrzebowało natychmiastowego ujścia, przeto zerwał się gwałtownie i wybiegł z wieczernika.

W duszy Chrystusa ozwało się przepotężne pożądanie ciszy i samotności — zerwały się w nim te złote nitki związane ze światem... W Getsemane, u cedru, wyleje swe bole, a usłyszał on, ten stary szumiący przyjaciel, niejedno i niejedną ranę duszy goił — niech zgoi i tę ostatnią, największą...

I wyszedł.

— Dokąd idziesz Panie? — zapytały niespokojne głosy, ale Nazarejczyk odpowiedział im cokolwiek nerwowo.

— Tam, gdzie wy iść nie potrzebujecie!

Ostrość tonu, pochodziła z samego dna walki z przerażeniem, z kotła, w którym usiłowano stłumić wrzenie, kłębiącego się waru. Usiłowano nabrać równowagi, z ciszy, ucieczką z gwaru, z mętów życia, w czystą atmosferę. Tam, gdzie można odetchnąć swobodnie, wypowiedzieć się samemu sobie i zrzucić gnębiącą maskę panowania nad sobą pożerającego wszystkie siły.

— A jakoże Panie, obejdziem się bez ciebie? Jakoże opuszczasz gromadkę? — usłyszał żałosny głos Szymona zwanego Piotrem.

Ten cichy głos jakoby skarżącego się dziecka, trafił w duszę Nazarejczyka jak uderzenie.

— Cóż zawiniła ta wierna gromadka prostaczków, nie umiejących się wczuć w jestwo męki, ani ocenić ogromu walki, w której ugina się dusza jako trzcina, a chwieje się jako liście poruszane wiatrem? Maż pojęcie ta gromadka w jaki sposób pragnie Syn człowieczy nabrać mocy, nadać duszy twardość stali, i z przerażenia wykrzesać radość, poddanie się temu, co wypełnionem być miało, jako napisano?

Wybrał czterech i kazał iść za sobą w Getsemane.

Szła tedy ta gromadka cicho, milcząc, a wyprzedzał ją Nazarejczyk o jakieś piętnaście kroków. Wiatr, który przekradał się przełęczą Gór Oliwnych, rozwiewając włosy i nieład czyniąc w układzie szat, zmiatał kurz drogowy, pędząc go przed sobą. A ścieżynka wiodła w górę, zakrętami omijając przeszkody, wśród darni i głogów, pięła się w zalesionną cedrami wyżynę. Getsemane pachniało mnóstwem kwiecia już zdaleka... Ukochane Getsemane, zapraszające, kładące wonne zefiry u stóp, ukojną ciszą pieszczące... Burza uczuć w duszy Nazarejczyka poczęła łagodnieć, ale drobny fakt, jaki się zdarzył po drodze, wzniecił ją na nowo: Oto Chrystus skaleczył się cierniem darni. Ostry, krótki szczypiący ból ozwał się nagle i Nazarejczyk syknął.

— Jakże boli jeden jedyny cierń mój Boże — mówił w sobie — a cóż dopiero będzie, gdy mnóstwo cierni wtłoczą gwałtownie na skronie raniąc nerwy i arterje?! Jakiż ból fizyczny sprawią oprawcy bezduszni, a jakiż moralny, swem naigrawaniem? Miejsca obolałe, proszące się delikatnego owinięcia będą na nowo, kłuć i bić na nowo i radować się, gdy z bolu kurcz chwyci mięśnie i krwawo zabarwią się kąciki ust...

Spojrzał na skrzące od gwiazd niebo, na którem rozpięła się mleczna droga, zapowiedź pogodnego dnia. Układ konstelacyj wskazywał już późny wieczór: Chrystus zadrżał.

— Jakżeż czas ucieka szybko, jak mknie okrutnie, nie mając względu ani odrobiny... Zlituj się nademną Panie mój, Boże wiekuitsy! — zawołał w rozpaczy. — Wstrzymaj uciekający czas chociaż do tyla, by Syn człowieczy zebrawszy siły, mógł przyjąć krwawy los z Twej ręki Panie, bez drżenia... Ojcze niebieski! Oddal ten kielich goryczy, ach! oddal!

Smutny szelest wśród gałązek cedru był odpowiedzią na to wołanie rozpaczne. Cedr zdawał się rozumieć mękę Pańską toczącą duszę jak mól. W smutnym szeleście brzmiała nuta bezradnego zakłopotania i niemocy. Tak, niemocen był cedr i niemocen był Pan, towarzysz wielu nocy, który opowiadał zdrady i doznawał ulgi wśród jego konarów. Mową listowia był Pan zrównoważon, ale dziś nie idzie to gładko i nie pójdzie, jak wiela rzeczy nie idzie, choć dusza ginie w przerażeniu.

Chrystus oglądnął się za siebie. Stamtąd widać było cały szlak drogi i święte Jeruzalem, oblane światłem ceglastem... to tam rozegra się bez litości, o czem napisano, ani literki nie ujmując...

Tymczasem droga była pusta; bystre oko nie dostrzegło nic podejrzanego, ani na szlaku ani na pochyłości góry i westchnienie jakiejś smutnej ulgi wydarło się z piersi.

Ci czterej co szli śladem w oddaleniu, rozłożyli się pod drzewami i spali już. Podszedł do nich Chrystus, długo patrzał w te postacie pogrążone we śnie i myślał:

— Oto prostaczkowie, syci i beztroski. Smutki ich powierzchowne i losy Syna człowieczego obojętne. Śpią snem kamiennym, aby powstawszy, w usta wrazić pokarm, płakać, gdy krzywda ich dotknie, a śmiać się, gdy radość w ich progi zawita... Syn człowieczy za was czuwa i znosi udręki serca, pije gorzki napój zdrady, abyście spać mogli spokojnie... Przewrócą się dzieje świata i bez was, akt zbawienia mimo was dokonanym będzie, ale Syn człowieczy z radością otworzy wam podwoje wieczności i przybytek wiecznego szczęścia przygotuje...

Ocknął się jeden i drugi...

— Śpicie? — zapytał Chrystus.

— Nie mistrzu, czuwamy!

— Tedy czuwajcie i módlcie się, abyście snać nie prześlepili godziny...

I wrócił do cedru.

Tu było najlepiej, bo nie czuł pustki jak wśród ludzi; stary przyjaciel umiał czuć i współczuć, umiał zlać się z cierpiącą duszą w jeden ton... A świat? Ten co cząstkę ducha Bożego otrzymał, wala się w prochu zgnilizny, zdradą nagradza i męką się poi. Wierzy, gdy korzyści z wiary wyciąga, gdy czuje moc nieśmiertelności, gdy usunąć mu z drogi cierpienia, wyzwolić z niemocy, karmić i odziewać. Przed oczy tłumu złożyć przystało dowody mocy zaświetnej, na żadną próbę go nie narażając. Tłum jest wszechwładny i tematem troski, ty, poza mocą nie z tego świata jesteś niczem: nie możesz więcej, przepadłeś. W postać człowieczą oblokłeś mnie Boże, lecz ciężkie zadanie, bardzo ciężkie spełnić kazałeś: oczyścić lud z miłości własnej, dać mu ideał prawdziwy, zaparcia się siebie,



Padł Chrystus na kolana i modlił się.

odkupić go, wyzwolić z niewoli ciemnoty! Azali zmogę? Jakże krwawi się serce moje, gdy odebrać mam razy niewdzięczności, gdy własnymi oczyma oglądać mam nienawistne twarze, tych, co z rąk mych brali dobrodziejstwa, a wołających: Ukrzyżuj go! Boże mój Boże! Oddal ten kielich goryczy, jeśli można, ale dziej się wola Twoja wszechwładna!

Padł Chrystus na kolana, obejmując niemy głaz, od wieków sterczący u stóp cedru. Głaz był zimny, porosły mchem i zczerniały.

— Szczęśliwy kamień, co z woli epoki wyrósł z ziemi, szczęśliwy głaz!... Żyjesz, tym twardym życiem, nie wiesz, co idea, poświęcenie, nie wiesz co miłość bliźniego, nie mającego nawet tej wartości co ty, bo wszak wspierasz zmęczone ramiona Syna człowieczego i pomagasz dźwigać ciężar świata, niewdzięcznego wielce! A prędzej ciebie mógłbym ożywić, niśli wskrzesić ideały w naturze ludzkiej, a pomyśl co to jest: ginąć w kwiecie wieku dla tych, co nawet paznokcia, ba brudu jego, bez namysłu nieszczęściu nie dali, siebie ciągle na myśli mając, zapomnieli nawet dobrodziejstw Syna człowieczego... Głazie szczęśliwy! Obojętnie wspierasz me ramiona, ale zapłakałbyś, gdybyś miał oczy, inni mają je do patrzenia, a nie widzenia, mają je do spania! Skłonił czoło do zimnego głazu i chłodził rozpalenie... Załamane ręce trzeszczały w stawach, zakłucając ciszę tej głębokiej nocy. Syn człowieczy uczuł rezygnację i blizkim był wielce do pogodzenia się z losem. Dziękował Ojcu niebieskiemu, że dał łaskę ogarnięcia się w sobie, aby wytrzymać ciosy, nie zdradzić bolu i tej obawy, tak przemożnie ściskającej całe jestwo, bo wszak nie podłe tchórzostwo ją wywołało, a ogrom ofiary: On jeden za wszystkich... za wszystkich!

Już, już, zdawało się, że gotów jest na wszystko, gdy znowu mała rzecz przekonała go, że tak nie jest: Oto zauważył, że słabe odbicie jego cienia na głazie, nagle poczyna stawać się wyraźniejsze... Taka prosta rzecz ,jak wyraźniejący cień, bywa niekiedy zapowiedzią katastrofy. Gdy człowiek tkwi nieruchomo, a cień jego zdaje się poruszać, to błahostka, mogąca wywołać cały szereg przerażających obrazów, od których, aż pot zalewa człowieka...

Chrystus zdrętwiał na widok rosnącego własnego cienia. Ten rosnący cień był dla niego końcem wolności, a początkiem męki, która już bardziej realnie poczęła się przedstawiać... Uczuł wilgoć we włosach i na czole, od gromadzącego się lepkiego potu, sprawiającego swędzenie. Coś zaparło mu oddech w płucach, a ręce w swem zaciśnięciu kurczowem, zdrętwiały jak martwe i stały się lodowato zimne. Nie mogąc ustami, wołał błagalnie myślami do Twórcy wszechrzeczy o zmiłowanie, o moc woli, której opanować jeszcze nie był w stanie, o zdobycie samego siebie... Silny to był głos duszy, niesiony na falach eteru do stóp Boga Ojca... Ostatnią kroplę goryczy już wypił albowiem cierpienie ciała jest niczem, wobec wijącej się w cierpieniu duszy, którą ostatka sił już dobyła. Ale z nieba po tychże falach spłynęło ukojenie: rozprężyły się ręce, po ciele rozlała się swoboda. Chrystus otarł pot, plamiący twarz. Był to pot zawierający w sobie grudki ściętej krwi: dowód śmiertelnej walki i najwyższego napięcia sił moralnych.

Powstał z klęczek, nabrał oddechu pełną piersią i oglądnął się za siebie. Najwyższy już czas, albowiem o jakie dziesięć kroków, otoczona licznym światłem pochodni, przetrząsała straż krzaki. Ku wiekuistej hańbie niewdzięcznego rodu ludzkiego, straż tę wyprzedał syn Szymona z Karjotu, ale oblicze Chrystusa ani drgnęło. Trzeba, aby tak było, aby dusza nim odejdzie z ciała największą miała udrękę, aby odkupienie jako największe dzieło, najwięcej miało ofiary, niemożliwej do naśladowania.

Jeszcze jeden głęboki oddech, poczem wyszedł z ukrycia i stanął w promieniu światła, rzuconego najbliższą pochodnią. Jedno oko Judy ujrzało tę postać Mistrza, promieniującą, spokojną, pełną majstatu, odzianą w purpurę. Nie był to Chrystus cierpiący, ale pewny siebie dostojnik, wspaniała wielkość. To jedno oko zmatowiało niewiadomo już, który raz i odmalowała się w nim niepewność zmieszana ze wstydem.

Cofnąć się już było niepodobieństwem.

Trzeba było znowu odegrać obojętny spokój, zgłuszyć nawał zabójczych uczuć, ba, uśmiechnąć się. Taką bywa rola zdrajcy, najobrzydliwsza postać na świecie: dwulicowy zbrodniarz!

I oto posuwa się naprzód, chód nabiera pewności i poprzez strach, upokorzenie i podłotę, wydobywa na wargi uśmieszek przyjacielski, a zbliżywszy się, łamiącym się głosem mówi:

— Bądź pozdrowion Mistrzu!

Zbrodniarz na jotę wykonuje przyrzeczenie poparte przysięgą i wytłacza na policzku Nazarejczyka pocałunek, rozpalonemi wstydem i upokorzenia wargami. Ten czyn był już nawet nad jego siły: uczuł drżenie we wszystkich członkach i żal potężny przejął go na wskroś. Ale i nad tem należało zapanować za wszelką cenę. Żal pchał się w gardło, zapalił żar w mózgu, podcinał niemal nogi. A już prawie w omdlenie popadł, gdy Chrystus, rzekł słodko jak zwykle, swym jagnięcym głosem:

— Dokonałeś Judo już wszystkiego, pocałowaniem zdradziłeś Syna człowieczego...

Juda zakręcił się na pięcie jakby miał upaść i z największym wysiłkiem usunął się w cień.

Noc zakryła zdradę swym całunem czarnym.

— Kogo szukacie? — Zapytał Chrystus, głosem pełnym dźwięku i energji.

— Jeschuę z Nazaretu szukamy — odrzekł centurjon ze Sjonu.

— Tedy jam jest!

Ale to „jam jest" było gromem od którego powalonym został zbrojny szereg do stóp Nazarejczyka.

Potęga Syna człowieczego objawiła się w całej pełni...

(Dalszy ciąg nastąpi).



Poradnik gospodarczy.

W tym miesiącu z powodu silnie spóźnionego roku, i ustawicznego zimna, roboty gospodarskie nie zostały wykonane we właściwym czasie. Należy się więc z temi robotami pospieszyć. Kończyć więc wszelkie siewy i sadzenia ziemniaków, zasiewać proso. Plenić osty w zbożu. Ziemniaki wschodzące bronować. Buraki przerywać. Zboże, gdzie zanadto wybujałe podkosić lub zżąć, używając zżętych piór na paszę dla bydła. Bydło po wypuszczeniu na paszę zieloną nie spuszczać z opieki, ale podkarmiać jeszcze w domu, aby stopniowo przechodziło z paszy stałej do zielonej i nie traciło na mleczności.

Baczyć, aby w sadach i ogrodach nie zawiązywały się oprzędy gąsienic i zbierać je, gdzie się pojawią i starannie niszcząc przez spalenie, zaś wylęgłe gąsienice tępić przez wyłapywanie na liściach i zabijanie. Gdzie się pojawią chrabąszcze majowe, strząsać z drzew, zbierać i spasać drobiem, a co nie zjedzą zabijać, pamiętając, iż to jeden z największych szkodników i nieprzyjaciół rolnika i dla niego trzeba być bez litości. Nie pozwolić dzieciom dręczyć ich przez obrywanie skrzydeł, nóg i t. p., ale niszczyć je n. p. przez składanie do beczki i polanie wrzątkiem. Z tak zniszczonych chrabąszczy otrzymamy wyśmienity nawóz pod różne warzywa. Wprawdzie chrabąszcze pojawiają się co cztery lata i niszczą zwłaszcza liście na drzewach, ale w czasie przetwarzania się, pędraki niszczą korzenie roślin czem wyrządzają wielkie szkody w gospodarstwie rolnem. W czasie kwitnięcia drzew owocowych pojawia się wiele owadów, które usiłują w zalążnię owocową złożyć swoje jajeczka, i z temi należy usilnie walczyć, gdyż od zwycięstwa zależy zysk. Po drzewach pojawia się grzybek plamisty i po zupełnem okwitnięciu drzew owocowych, zwłaszcza grusz i jabłoni należy spryskać drzewa cieczą bordowską po raz wtóry, aby zniszczyć wszelkie zarodki grzybka, który z drzewa przenosi się na owoc niszcząc go i czyniąc go mniej pokupnym.

W ogrodach warzywnych sadzić kapusty, kalafjory, kalarepę, a gdy przejdą zimna (święci lodowi 12, 13, 14 maj) sadzić ogórki, pomidory i inne delikatne na zimno czułe roślinki. Plewić starannie z chwastów i wzruszać ziemię, a w razie posuchy pamiętać o podlewaniu, gdyż warzywa w tym czasie potrzebują do wzrostu bardzo dużo wody. Pomidory chronić należy przed mrozami i przeciągami, gdyż są bardzo wrażliwe na zimno, po przyjęciu okopywać, a wtedy silniej się zakorzeniają. Nie wystarcza raz okopać, ale okopywać co kilka dni silnie ogartywać ziemią, a wtedy dostają coraz więcej korzeni przybyszowych, któremi czerpią z ziemi pokarm i silnie się rozrastają. Gdy zaczną kwitnąć, należy dopuścić do zawiązania się pewnej ilości owoców, najwięcej na silnym pniu 10—20 owoców, zaś resztę kwiatu obcinać lub zrywać, aby pozostawione owoce były dorodne i wcześnie dojrzały. Pomidory kwitną przez całe lato, wydając nowe łodygi i im więcej je okopujemy i ocinamy, tem dorodniejszy otrzymamy owoc.

Pszczoły trzymać bardzo ciepło, teraz nie należy otwierać do uli niepotrzebnie — wystarczy raz na tydzień podmieść, zbierając skrzętnie wszelkie zmiotki. Nie trzymać pni słabych, ale łączyć je, a wtedy będą roje i miód. Podkarmiać na siłę na sześć tygodni przed nastaniem pożytku, doprowadzić pszczoły do największego rozwoju i siły, aby, gdy nastanie główny pożytek, było robotnic dużo, które zniosą dużo miodu i zapłacą sowicie za pracę i wrócą z lichwą włożony kapitał. Trzymać w pasiece ule tylko ramowe i teraz należy przekładać pszczoły z barci do uli ramowych, gdyż te dzisiaj tylko się opłacają, zaś na miano dobrego gospodarza zasługuje tylko ten, kto kroczy z postępem. *Jan Matysik.*

Poradnik lekarski.

Kaszel. Dla łagodzenie tegoż istnieje mnóstwo recept. 1) Koper włoski i mech islandzki wygotowuje się w równych częściach z litrem wody aż na pół litra. Przecedziwszy ten napar, dodaje się 25 łyżek cukru kandysowego i całość przegotowuje się powtórnie; co trzy godziny bierze się z tego łyżkę. 2) Owsianki bierze się dwie pełne dłonie, do tego 1 łyżkę koniczyny gorzkiej, podbiału, krwawnika i babki i wygotowuje się z $^3/_4$ litrem wody aż do połowy, przecedzając napar i dodając 20 łyżek miodu lub cukru kandysowego, poczem przegotowuje się mieszankę tę powtórnie. Również bardzo skuteczne są nacierania ciepłą oliwą.

Zimowit czyli sasanka. Jest bardzo rozpowszechnioną rośliną, kwitnącą w jesieni. Jest we wszystkich częściach trującą, szczególnie zaś w nasieniu. Materja trująca, **kolchicyna,** działa zwłaszcza na żołądek i kiszki, wywołując silne kolki, wymioty i biegunkę. Kolchicyna jest środkiem na podagrę.

Tojad. Rośnie dziko w okolicach górzystych, lecz stanowi równocześnie ulubioną roślinę ogrodową. Materja trująca, **akonityna,** znajduje się w korzeniach, powoduje ciężkie zapalenie żołądka i kiszek. Preparaty akonitowe znajdują zastosowanie tylko w homeopatji.

Rośliny trujące i medycynalne. W przeogromnej ilości świata roślinnego, można zauważyć szereg roślin, które są dla człowieka pożyteczne lub też szkodliwe. Znajdują się również i takie rośliny, które użyte w małej dawce, są dla zdrowia zbawienne, stają się niekiedy śmiertelne. Do takich roślin zaliczamy:

Czerwony naparstnik. Rośnie prawie we wszystkich okolicach leśnych Europy i zawiera we wszystkich swych częściach materję trującą, która jednakże równocześnie najlepszym i najskuteczniejszym jest środkiem na serce.

KUNKURS DLA POETÓW.

Na ogłoszony przez nas konkurs na wierszyk o podanych rymach otrzymaliśmy 99 utworów. I przyznać trzeba, że tylko 15 z nich były to wypracowania bardzo słabe, reszta zaś posiadała dużo zalet kwalifikujących je do druku. **Jako trzy najlepsze uznaliśmy utwory pp.: Haliny Szybowiczowej p. t. „Modlitwa“, Wojciecha Byczka p. t. „Do słowiańskiej dziewczyny“ i Walentego Pasierba p. t. „Pamiętaj“** i te trzy więc utwory otrzymują przyobiecane nagrody konkursowe. Z pozostałej reszty dalsze trzy przytaczamy w dzisiejszym numerze, w następnym zamieścimy jeszcze sześć, aby dać poznać naszym Czytelnikom, jakie to różnorodne wiersze można układać o jednakowych rymach.

Modlitwa.

Do przeczystej krynicy twoich ócz, dziewczyno,
Modlić mi się wśród szarych dni życia potrzeba,
A tęsknot ciche szepty kornie do cię płyną,
By przez ócz twych przepaście dopłynąć do nieba.

Dziś jeno mi rozjaśnia smętny świat kochanie,
Wykwitłe z serca głębi, jak pąsowy pączek,
Co na życia spalonym zaczerwieniał łanie,
Wypieszczony dotykiem białych twoich rączek.

Głos twój dotąd mi dźwięczy niby chór aniołów
W przejasnem górnych, młodych marzeń zrodzon niebie,
Kędy na skrzydłach myśli po złud płynę połów,
By jedną złudę — jedną dostać ciebie!

Opętał mię twych dziwnych oczu blask uroczy
I głos twój zgłuszył wszystko, jedyna dziewczyno,
Dziś mem szczęściem największem przepastne twe oczy,
One mych złud krynicą, mych marzeń krainą!

Halina Szybowiczowa.

Do słowiańskiej dziewczyny.

Kwiateczku ziem polskich — słowiańska dziewczyno,
Twej siły moralnej Ojczyźnie potrzeba!
Więc niech dziś twe myśli jasnym nurtem płyną
Skróś ziemskich ugorów i wichrów do nieba...

Niech miłość Ojczyzny — najczystsze kochanie
Skarbi w swem kielichu uczuć twoich pączek:
By, kiedy przekwitnie śród słońca — na łanie,
Plon cnoty padł ziarnem w serc niwy z twych rączek...

Gdy z wiarą popłyniesz pod sterem aniołów
Ku słońcu idei na ojczystem niebie:
To — choć moc grobowa wyruszy na połów,
Bądź pewna, że harpun jej oszczędzi ciebie!

Na niwie ojczystej kwiateczku uroczy,
Nadziejo przyszłości — słowiańska dziewczyno:
W twe serce dziś patrzą wielkich Polek oczy,
Czy szczerze potrafisz współżyć z twą krainą!

Wojciech Byczek.

Pamiętaj!

Pamiętaj o tem, miła dziewczyno,
Że ci prawdziwej cnoty potrzeba,
Bez niej dni życia tak marnie płyną,
Bez niej tak trudno dosięgnąć nieba.

Pomnij i na to, moje kochanie,
Że młodość twoja jak róży pączek...
Jako pszeniczka złota na łanie.
Żyj zawsze cnotą — nie splam swych rączek.

A upodobnisz się do aniołów
W liljowych szatach mknących po niebie...
Szatan utraci w tobie swój połów —
Bóg laurami uwieńczy ciebie!

Dzisiaj twój powab piękny, uroczy...
Jutro on zblednie, hoża dziewczyno,
Miast zwracać gminu na siebie oczy
Za wieczną szczęścia tęsknij krainą.

Walenty Pasierb.

Czegóż ci potrzeba?

Czegóż ci trzeba, dziewczyno,
Czegóż ci więcej potrzeba,
Czemu z twych oczu łzy płyną?
Czemu wzrok wznosisz do nieba?

Jesteś ty, moje kochanie,
Tak cudna, jak róży pączek!
Jak mak na cudnym, na łanie,
Co do twych chyli się rączek.

Dałbym ci skrzydła aniołów
Co, jako gwiazdy, lśnią w niebie
I pereł całybym połów
Do stóp twych złożył dla ciebie!

Wszak świat jest taki uroczy!
Czegóż ci trzeba, dziewczyno?
Czemu w łzach toną twe oczy?
Za jaką tęsknisz krainą?...

Aleksandra Matysikowa.

Kochaj mnie dziewczę!

Kochajże mnie, kochaj, dziewczyno!
Do szczęścia mi ust twych potrzeba,
Czar spojrzeń, co z oczu twych płyną,
Jak lazurowy cud nieba.

Pokochaj... ja swoje kochanie
Jako ten biały kwiat — pączek
Na srebrnym rozkwitły, na łanie,
Złożę do liljowych twych rączek.

A prosiłż ja będę aniołów
I Chrysta Jasnego na niebie,
By z duszy mej uczynił dwie połów
I jedną z nich cicho tchnął w ciebie.

Hej! Przyjdzie dzień wtenczas uroczy,
Pokochasz mnie przecie dziewczyno.
Szczęśni, wpatrzeni w swe oczy
Otoczym się baśni krainą.

Orlica.

Czytaj!

Czytasz ty „Rolę“, dziewczyno?
Oj, czytać, czytać ją trzeba,
Bo z niej nauki wciąż płyną,
Które prowadzą do nieba.

Chodźże tu do mnie, kochanie,
Chodź piękna, by róży pączek,
Siądziemy sobie na łanie
I weźmiem „Rolę“ do rączek.

I razem, jak dwóch aniołów,
Co tam usiedli gdzieś w niebie,
Zrobimy z „Roli“ dwie połów:
Mnie jedną, a drugą dla ciebie.

Obraz to będzie uroczy,
Gdy się zaczytasz, dziewczyno,
A twoje błękitne oczy
Pójdą za wiedzy krainą...

Juljan Kwolek.

KRONIKA.

Małżeństwa poborowych. Nowa ustawa wojskowa, która weszła w życie z dniem 1 b. m., nie przewiduje konieczności uzyskiwania zezwoleń na wstąpienie w związki małżeńskie. Zawarcie małżeństwa przed wstąpieniem do służby wojskowej nie wymaga żadnych zezwoleń i przeto składanie wszelkich podań w tej sprawie jest zbędne. Pozostaje nadal przepis, że zawarcie małżeństwa nie daje prawa do odroczenia, ani skrócenia służby, ani nie uprawnia do żadnych świadczeń ze skarbu państwa na rzecz rodziny poborowego. Wątpić należy, czy zgodziłaby się która dziewczyna na to, aby wyjść za mąż za rekruta, a potem żyć sama przez cały czas jego służby wojskowej.

Dziesięciolecie bitwy pod Kaniowem. W ubiegłym tygodniu 11 maja była w Krakowie uroczyście obchodzona dziesiąta rocznica bitwy pod Kaniowem. Dnia 11 maja 1918 r. bowiem druga brygada Legjonów i żołnierze polscy z byłej armji rosyjskiej złączeni w drugi korpus pod wodzą generała Hallera stoczyli dwudniową bitwę z Niemcami. Była to pierwsza walka wojska polskiego z Niemcami od rozbiorów Polski. A że odbyła się w chwili wojny światowej, gdy Niemcy stali u szczytu potęgi, dlatego zdobyła ona dla Polski przychylność Francji, Anglji, Ameryki, Włoch i t. d., co ułatwiło wstawienie w punktach Wilsona powstanie Polski niepodległej. Kraków uczcił tę rocznicę nabożeństwem załobnem w kościele Najśw. P. Marji za poległych. Wieczorem zaś odbyła się Akademja, na której przemawiał gen. Haller. Krakowska chorągiew Hallerczyków brała czynny udział w tej uroczystości.

Krwawe zaręczyny. Z Łucka donoszą: W niedzielę w nocy we wsi Ludwiszcze, pow. krzemienieckiego, w domu gospodarza Iszczuka, odbywały się zaręczyny 18-letniej jego córki Eugenji z synem sąsiada. W momencie, gdy całe towarzystwo zasiadło do stołu, by spożyć kolację, zagrały basy.



Eugenja uradowana podbiegła do okna, gdy w tej chwili padł strzał rewolwerowy, zabijając na miejscu Eugenję Iszczuk. Natychmiast przeprowadzone dochodzenia ustaliły, że zbrodni skrytobójczego morderstwa dopuścił się w szale zazdrości mieszkaniec Ludwiszcz, Ignatiuk, którego od dłuższego czasu łączyły bliskie stosunki z Eugenją Iszczuk, rodzice jej jednak byli przeciwni związkowi córki z Ignatiukiem. Mordercę aresztowano.

Śmierć w płomieniach. W majątku pod Lubawą wybuchł wielki pożar, który szerząc się z szaloną szybkością, strawił cały szereg domów i zabudować gospodarczych. Między innymi stanął w płomieniach dom, w którym znajdowało się siedmioro dzieci. Rodzice byli nieobecni. Gdy matka spostrzegła pożar, pobiegła pędem do domu i rzuciła się w płomienie. Udało się jej wynieść dwoje dzieci, natomiast pięcioro spaliło się na węgiel. Uratowane dzieci jednak odniosły tak ciężkie poparzenia, że w drodze do szpitala zmarły. Matka, którą z powodu doznanych poparzeń odwieziono do szpitala, skutkiem ran i pod wpływem rozpaczy po stracie dzieci dostała pomieszania zmysłów. Ojciec chciał popełnić samobójstwo i rzucił się do studni, lecz go wyratowano. W tym samym mniej więcej czasie wybuchł pożar we wsi Doborów pod Kaliszem. I tam również nie obeszło się bez ofiar w ludziach. Spaliło się żywcem dwoje dzieci, a 6 mężczyzn i 9 kobiet odniosło tak ciężkie poparzenia, że mała jest tylko nadzieja utrzymania ich przy życiu.

Mąż na powrozie. Komisarjat policyjny w Warszawie był w tych dniach świadkiem niezwykłej sceny. Oto niejaka Sura Krachman przyprowadziła związanego powrozem jakiegoś mężczyznę. Prowadzony na sznurku był potulny jak dziecko. W komisarjacie energiczna niewiasta oświadczyła, iż przyprowadziła strasznego bandytę i złodzieja, który jej skradł 800 dolarów i chciał ją zamordować. Zatrzymany oświadczył, że jest mężem Sury Krachman, pieniędzy żadnych nie brał i że nie on męczy żonę, lecz ona jego.

Zbrodnia oszalałego żandarma. Onegdajsze depesze przyniosły lakoniczną wiadomość o wstrząsającej zbrodni, popełnionej przez oszalałego żandarma, której ofiarą padło pięć osób i sam żandarm. Tragedja ta rozegrała się w miejscowości Bata na Węgrzech, a sprawcą zbrodni był wachmistrz żandarmerji Stefan Kovacz, wobec którego było w toku śledztwo dyscyplinarne. Kovacz podejrzewał przełożonego swego, chorążego Gezę Grasenicza, że ten szkodził mu rozmyślnie przy śledztwie. Nie zdradzając skrytobójczych zamiarów, wycelował do przechodzącego przez dziedziniec koszar Grasenicza i położył go trupem na miejscu. Widocznie dokonana zbrodnia spowodowała u mordercy atak szału, gdyż bez namysłu strzelił do nadbiegłej na pomoc żony chorążego, następnie pobiegł do kuchni i jednym celnym strzałem powalił gotującą obiad kucharkę. Ponieważ zabrakło mu nabojów, naładował karabin nowemi patronami i pobiegł do wsi. Za bramą koszar spotkał żandarma Delczego, którego bez słowa zastrzelił. Następnie wypił w winiarni miasteczka litr wina i udał się do urzędu gminnego, lecz zastał drzwi zamknięte. Wobec tego zaszedł do sąsiedniego domu, gdzie spotkał wachmistrza żandarmerji Batora, którego również powalił trupem na miejscu. Obłąkaniec, nie syty krwi, szukał dalszych jeszcze ofiar, lecz kilku ludziom udało się uciec. Wypadki odbywały się w tak błyskawicznem tempie, że cała wieś, jak urzeczona grozą, zdrętwiała i dopiero po dłuższym czasie zawiadomiono żandarmerję o strasznej sytuacji. Stefan Kovacz, widząc za sobą pościg, dał jeszcze kilka strzałów, lecz chybił. Miarkując, że już niema dla niego ratunku, sam się zastrzelił. Urzędowy komunikat ministerstwa spraw wewnętrznych ogłasza, że Kovacz popełnił zbrodnię w przystępie szału. Z ofiar mordercy jedynie żonę chorążego da się prawdopodobnie uratować.

Niezwykłe odnalezienie syna. Emigrantowi rosyjskiemu Teodorowi Szylerowi, mieszkającemu obecnie stale w Zagrzebiu, zaginął podczas ewakuacji armji Wrangla jedyny syn. Szyler przez dłuższy czas poszukiwał go, ale wreszcie musiał przyjść do wniosku, że syn zamordowany został przez bolszewików. Po opuszczeniu ojczyzny, stary Szyler osiadł w Zagrzebiu, gdzie pędzi smutny bardzo żywot. W tych dniach, przeglądając jakieś zagraniczne pismo ilustrowane, Szyler spostrzegł fotografję pewnego lotnika amerykańskiego, wielce po-

dobnego do zaginionego syna. Jakież było zdumienie i radość sędziwego emigranta, kiedy pod fotografią wyczytał, że przedstawia ona lotnika amerykańskiego, Duka Szylera, który pierwszy pospieszył z pomocą samolotowi „Bremen“, który wylądował na Greenly Island. Szyler niezwłocznie napisał obszerny list do swego syna i obecnie z radością i niecierpliwością zarazem oczekuje odpowiedzi od swego dziecka, które już od szeregu lat uważał za nieżyjące.

Wypili całą piwnicę. Dzienniki wiedeńskie przynoszą następujący przykład „germańskiego pragnienia“: W małej miejscowości Schmolin w Austrji Górnej przyszli do miejscowej gospody trzej goście wczesnym rankiem i siedzieli tam do późnej nocy. Byliby jeszcze dłużej siedzieli, gdyby nie ta okoliczność, że zdołali wypić cały zapas piwa, jaki znajdował się w gospodzie. Goście, opuszczając gospodę nieco chwiejnym krokiem, zabrali z sobą szyld, co przysługiwało im wedle zwyczaju, panującego w owych okolicach, a powiadający, że gospodarz, który niema czem zaspokoić pragnienia gości, traci szyld na ich korzyść. Piwosze w Schmolin skorzystali z tego prawa i obecnie gospodarz musi od nich wykupić szyld, przynosząc odpowiednią ilość piwa. Oczywiście goście razem z właścicielem gospody mogą odnieść w trjumfie szyld do gospody i urządzić tam poprawiny.

Masowe zatrucie arszenikiem. W fabryce wyrobów żelaznych braci Faber w Düren nad Renem miało miejsce onegdaj straszne przestępstwo. Pięćdziesięciu robotników tej fabryki uległo zatruciu arszenikiem. Podług zwyczaju, onegdaj rano o dziewiątej podczas pauzy, robotnicy zaparzali sobie kawę, biorąc wrzątek z kotła, który specjalnie do tego celu ustawiony jest na piecyku gazowym w jednej z ubikacyj fabrycznych. Po spożyciu śniadania, pięćdziesięciu robotników dostało kurczy i wymiotów. Odwieziono ich karetkami Pogotowia do szpitala, gdzie stwierdzono, że otruci są arszenikiem. Chemiczna analiza wody w kotle, skąd robotnicy czerpali wrzątek do zaparzenia kawy, wykazała, że woda ta zawierała bardzo znaczną ilość arszeniku. Zachodzi podejrzenie, że masowego tego zatrucia dopuścił się z zemsty wydalony niedawno robotnik fabryczny. Aresztowano go nazajutrz, lecz ten wypiera się winy.

Niezwykłe samobójstwo. W oryginalny sposób odebrał sobie w tych dniach życie 25-letni mieszkaniec Lhoty (Czechosłowacja) nazwiskiem Seidl. Rozebrał się mianowicie do naga, całe ciało owinął drutem metalowym i połączył go z prądem o wysokiem napięciu. Oczywiście śmierć nastąpiła momentalnie.

Niewidomy posłem. Pomiędzy nowo wybranemi posłami do parlamentu francuskiego znajduje się także Scapini, który utracił wzrok na wojnie światowej. Nie jest to pierwszy tego rodzaju wypadek, że niewidomy wykonuje funkcje poselskie. Scapini może się poszczycić sławnym poprzednikiem. W 1850 roku wybrano w Anglji na posła niewidomego człowieka nazwiskiem Henry Fawcett. Wyróżniał się wielu zaletami i został wskutek tego później mianowany generalnym pocztmistrzem. Na tym urzędzie przeprowadził wielkie reformy i usprawiedliwił całkowicie pokładane w nim nadzieje.

Były cesarz złodziejem. Według informacji dzienników francuskich były cesarz niemiecki Wilhelm zdołał przemycić z cesarskiego pałacu w Berlinie do swej rezydencji w Doorn w Holandji jeden z najpiękniejszych obrazów Rubensa. Brak tego obrazu zauważono dopiero teraz i przeszukano cały pałac, ale bezskutecznie. Jeden z wieczornych dzienników w Berlinie pod soczystym tytułem: „Kradzież popełniona przez Hohenzollernów“ oznajmia, że eks-kaizer oprócz wyżej wymiynionego obrazu cichaczem sprzedał również dwa przepiękne obrazy Watteau, z których jeden był słynny „Taniec“. Obrazy te kupił jakoby znany kolekcjonista angielski sir Joseph Duveen. Sprzedaż czy wywiezienie owych obrazów jest zwykłą kradzieżą, gdyż obrazy te były obecnie własnością nie Wilhelma, ale państwa niemieckiego.

Warjactwa z miłości. Znanego profesora i uczonego oprowadzano w medjolańskim szpitalu dla umysłowo chorych. Lekarz naczelny zaprowadził profesora do celi, w której znajdował się pewien młody człowiek.

— Ten chory — oświadczył lekarz — jest absolutnie nieszkodliwy. Znajduje on się u nas od dwóch przeszło lat. Biedak tak sobie wziął do głowy, że dziewczyna wzgardziła nim, że zwarjował. Od tego czasu bawi się stale laleczką.

W następnej celi umieszczony był drugi warjat z miłości, ale już biegunowo odmiennego typu.

— Jakżeż ten zwarjował? — zapytał profesor.

— To ten, który ożenił się z ową dziewczyną.

Oto jaskrawy dowód, jak miłość może paść ludziom na umysł. Istotnie, miłość jest cudna, piękna niby wiosna, ale tylko w poezji, w samych marzeniach. W małżeństwie czasem zmienia się do tego stopnia, że można zwarjować.

Dookoła Europy na taczkach. Obok sportów właściwych rozwijają się sporty ekscentryczne. Spacer pieszo, lub na rowerze dookoła ziemi należy już do banalnych eksperymentów, które nie budzą ciekawości i zainteresowania w tłumie. W czasach ruchliwości powojennej i manji przenoszenia się z miejsca na miejsce uzyskują prawo obywatelstwa czyny sportowe bardziej oryginalnego i niecodziennego charakteru. Tak naprzykład jeden z żądnych rozgłosu Belgijczyków postanowił zadziwić swych rodaków, podejmując się obejść pieszo całą Belgję z bębnem na pasie i wybijając do taktu marsza. Dwaj Włosi Zardini i Vianell z Wenecji wybrali się w podróż naokoło świata w beczce.



Obliczali oni odbycie tej żmudnej podróży w 12 latach. Obywatel Leroi z Lyonu wpadł na niemniej a może bardziej zadziwiający pomysł przewędrowania całej Francji w... worku. W drodze jeszcze znajdują się dwaj Kanadyjczycy, którzy wyruszyli w podróż po Europie, przyczem jeden z nich obowiązkowo musi spoczywać w taczkach. które drugi pcha przed sobą. Pewną sławę wśród gapiów paryskich i lekarzy zdobył sobie pan Dopuis, z zawodu tapicer, który dwadzieścia razy z rzędu wszedł i zeszedł po schodach na wieży Elffla, nie zatrzymując się ani na minutę. Lekarze zainteresowali się tym fenomenem, który ma nielada wytrzymałe serce i płuca.

Cudowne zjawisko. Wioska Ferdout w Wogezach alzackich już od czasu wielkiego tygodnia przeżywa wielkie emocje. Zainteresowano się nią wskutek tego w całej Francji a nawet poza francuskiemi granicami.

Ukazała się Matka Boska na stokach Wogezów! Taka wieść rozeszła się w pierwszych dniach miesiąca z ust do ust po górskich wioskach. Doszła do Saint-Die, potem do Strassburga, potem do Paryża i dalej. Fakty przedstawiają się następująco. Pewnego pięknego popołudnia dwie wiejskie dziewczynki, znalazłszy się w górach, usłyszały — tak twierdzą przynajmniej — gwałtowny szum wichru, chociaż powietrze pozostawało najzupełniej spokojne. Przerażone zaczęły odmawiać różaniec. I wtedy — wciąż według ich własnej relacji — ukazała się im, spływając z obłoków, jakaś „piękna pani“. Młodsza dziewczynka, wstrząśnięta trwogą, nie mogła wydobyć głosu. Starsza, trzynastoletnia Marcelinka, drżąc, wyjąkała zapytanie:

— Piękna pani — mówiła — jeśli przychodzisz od Boga, powiedz swe imię. Jeśli przychodzisz od szatana — odejdź precz.

Odpowiedź brzmiała:

— Imię swe powiem wam później. Powróćcie za trzy dni.

Po trzech dniach na to samo miejsce przybyła już tylko Marcelinka. Znowu ta sama wizja. I głos, który mówi:

— „Jestem Matką Zbawiciela. Kto wierzy, będzie zbawiony. Kto nie wierzy i szemrze, będzie ukarany“.

Opowiadanie dziecka sprawiło, że począwszy od wielkiego piątku co kilka dni tłumy ludu gromadzą się na miejscu rzekomego cudu. Naokół Marcelinki wszyscy padają na kolana i modlą się. Marcelinka oświadcza, że wciąż to samo widzenie ukazuje się przed nią. Inni nic nie widzą, lecz naogół wierzą. Wiarę potęguje jeszcze fakt, że Marcelinka „piękną panią“ dokładnie opisuje i że mimo starannego badania dokonywanego już przez poważne osoby, nigdy w tem co mówi niema sprzeczności, ani jakichkolwiek poplątań. Lud dziwi się nieco, że zjawiskom nie towarzyszą cudowne uzdrowienia. Lecz Marcelinka odpowiada „Matka Boska nie czyni jeszcze cudów, ponieważ niema u nas jeszcze dosyć wiary“. I dodaje: „Matka Boska jest smutna, bo przychodzą panowie, którzy nie zachowują się tak, jak potrzeba i panie, które śmieją się i palą papierosy“. Ostatnio sprawą zainteresowało się biskupstwo w Saint-Die oraz sfery naukowe i lekarskie. Zakazu pielgrzymek, który zazwyczaj w takich wypadkach wydawany jest przez władze zarówno kościelne jak i świeckie, tym razem nie uznano za konieczny, gdyż wszystko — przynajmniej dotychczas — odbywa się w zupełnym spokoju. Oczywiście władze duchowne mogą dopiero wydać wyrok, czy jest to objawienie rzeczywiste, czy jakieś złudzenie.

Pomnik małpy. W stolicy Anglji ma stanąć pierwszy na świecie pomnik... małpy. Wyobraża on w bronzie ostatnio zdechłego szczególnie ulubionego przez publiczność, przedewszystkiem dziecięcą, mieszkańca londyńskiego ogrodu zoologicznego, szympansa Joe. Szympans ten odznaczał się niezwykle miniaturową postacią, zachwycającym wdziękiem i ucieszności, imponującemi zdolnościami akrobatycznemi. Lecz — co rzecz najważniejsza — wręcz artystycznie grywał na harmonji i stanowiło to jego najulubieńsze zajęcie. Codziennie wielkie tłumy podziwiały go, zasłuchane. Przed pewnym czasem Joe nagle posmutniał i przestał grać na harmonji. Stwierdzono, że jest chory. Wzywano najznakomitszych weterynarzy i nawet najgłośniejsze powagi wśród lekarzy „od ludzi“. Wszystko nadaremnie. Joe pożegnał się ze światem. Rozpacz była ogromna. Nawet najpoważniejsze dzienniki uważały za konieczne poświęcić biednemu szympansowi serdeczne wspomnienia. Ktoś nasunął pomysł, aby pamięć Joe'a unieśmiertelnić. Myśl ta zyskała poklask. Kierownictwo ogrodu zoologicznego zdecydowało się rozpocząć prace nad wzniesieniem pomnika nieodżałowanemu szympansowi u wrót ogrodu. Jeden z wybitnych artystów przedstawił już projekt. Pomnik stanąć ma w najbliższym czasie.

Dziecko w rękach nieboszczyka. Na przedmieściu Londynu mieszkał wraz z żoną Robert Rankine. Ciche szczęście omotało promienną nicią ich ognisko domowe. Trzy dzieciątka wnosiły złotą radość i napełniały śmiechem mieszkanie tych szczęśliwych ludzi. Przed kilku dniami wyjechała pani Rankine do miasta, aby poczynić zakupy na niedzielę. Mąż został w domu, aby pilnować dzieci. Gdy wieczorem żona wróciła do domu, zastała dwoje dzieci bawiących się na podwórzu.

— Co robi tatuś? — pyta matka.

— Siedzi przy kominku i bawi się z Tuńką — odpowiedziały dzieci.

Jakieś złowrogie przeczucie wkradło się do serca matki i żony. Zmrok już panował gęsty, gdy pani Rankine weszła do pokoju. Ostatni promień zachodzącego słońca legł nad kominkiem. W fotelu zagłębiony siedzi mąż z Tuńką na łonie. Tuńka oparła główkę na ramieniu tatusia i śpi słodkim niewinnym snem dzieciątka.

— Dobry wieczór! — woła pani Rankine.

Tuńka budzi się i wyciąga rączki ku mamusi; nie może upaść, bo ojciec ją mocno obejmuje. Ojciec nie odpowiada na pozdrowienia. Dlaczego mąż nie odpowiada? Czyż jest chory?

— Bob! — krzyczy przerażona kobieta. — Bobie, dlaczego nic nie mówisz?

Przywołany lekarz stwierdził śmierć skutkiem udaru serca. Bob zasnął na wieki, ale nie wypuścił swego najukochańszego dziecka Tuńki. Ciemność nocy rozproszył blask gromnic.

Nagość a cnota. Angielski gubernator wysp Polinezyjskich, sir John Grimpl, przesłał swojemu zwierzchnikowi, wielkobrytyjskiemu ministrowi kolonjij, raport, w którym zwraca uwagę na bardzo niepożądane następstwa dekretu, zmuszającego miejscową ludność do noszenia europejskiej odzieży. Pierwszą opłakaną konsekwencją tego rozporządzenia było pojawienie się całego szeregu epidemicznych chorób, nieznanych tam dotychczas, mieszkańcy bowiem archipelagu nie zdejmują miesiącami całemi ubrania ani w dzień ani w nocy; przestali się myć i kąpać, żyją w strasznym brudzie i są chodzącymi zbiorowiskami zabójczych bakteryj. Noszenie odzieży spowodowało również niezmierne rozluźnienie obyczajów, czego skutkiem jest szerzenie się specjalnych chorób, dziesiątkujących Polinezyjczyków. Gubernator Grimpl zwraca się przeto do władz centralnych z prośbą o zniesienie szkodliwego rozporządzenia.

Autobus śmierci. W pustyni syryjskiej zabłądził autobus, który wiózł 20 osób. Autobus wyjechał z Bagdadu i miał dotrzeć do Beyruthu. Na poszukiwanie wysłano samolot angielski. Po długich poszukiwaniach udało się zaginiony autobus odszukać. Wszyscy pasażerowie byli bez życia, zmarli wskutek braku wody.

Niezwykłe odkrycie w Meksyku. Pewien pasterz znalazł w okolicach miasta Chihuahua w Meksyku, w niedostępnych górach grotę, w której znajdowały się zasuszone jak mumje ciała kilkudziesięciu osób, mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszystkie ciała spoczywały w pozycji modlącej się lub umierającej. Przypuszczano początkowo, że są to ofiary trzęsienia ziemi, zagrzebane żywcem, ale wszystkie ciała były związane ze sobą sznurami. Chodzi więc tu prawdopoeobnie o jakiś krwawy dramat z dziejów zdobywania Meksyku przez Hiszpanów. Jedno z ciał, doskonale zachowane, przeniesione do sąsiedniego miasta i umieszczone na wystawie jednego ze sklepów. Władze wydały rozkaz odesłania wszystkich ciał do Meksyku, celem zbadania ich.

RZECZY CIEKAWE.

Kraina trzech tysięcy wysp.

W pobliżu Australji znajduje się bardzo wiele wysp, które nazywamy Polinezją. Polinezja należy do najciekawszych części świata i od połowy 18 wieku jest ulubionym tematem opisowym szeregu podróżników i geografów, a nawet powieściopisarzy. Dość wspomnieć o utworach Ellisa, Meloille, Sterensona, Gauguin, La Farge... I dziwić się temu niepodobna. Polinezja pod wszelkimi względami ma urok niezwykłej tajemniczości. Tajemnicza jest nietylko ze względu na to, że jej wyspy są pozostałością zatopionego lądu — szczytami jego gór i wulkanów. Tajemnicza jest jeszcze i dla pozostałych w niej śladów jakiejś prastarej odwiecznej kultury, niezmiernie swoistej, która stać musiała na bardzo wysokim poziomie. Tajemnicza jest wreszcie, jako wciąż działające ciekawe laboratorjum nieznanych sił przyrody i jako niesamowity przykład uporu, z jakim natura chwyta się życia.

Przecież jedynie szczury i myszy były ssakami, które pierwotnie Polinezję zamieszkiwały. Nawet węży nie było, a, ażeby spotkać się z żabami i salamandrami, trzeba uczynić skok aż hen! daleko na zachód poza wyspy Fidżi i Salomona. Natomiast Polinezja jest rajem ptaków, wśród których są okazy zupełnie wyjątkowe n. p. ów cudowny śnieżno-biały „Fairo Tem", który składa swe jedyne pstrokate jajko nie w żadne gniazdo, ale wprost w pierwsze lepsze wgłębienie, w pierwszej lepszej spotkanej, horyzontalnej gałęzi, albo ów „Rycerzyk" tak zwany, bo ma na podgardlu specjalny pęcherzyk jaskrawo czerwony; w czasie ruji nadyma go specjalnie i tym sposobem wabi samiczkę do gniazda, które był uprzednio sobie przygotował. Uderzającym jest zmysł orjentacyjny tamtejszych ptaków morskich: odlatują od swych wysp na niebywałe odległości — 150—200 mil i zawsze drogę do swych gniazd znajdują, nie bacząc ani na mgłę, ani na burzę, ani na ciemność, ani zwłaszcza na fakt, że już w odległości 20 mil ich płaskie wyspy przestają być dla oka widzialnemi nawet... z aeroplanu!

Największe pociągi luksusowe.

Niektóre z największych pociągów świata kursują w południowej Afryce na przestrzeni trzy razy większej od terytorjum Francji. Pomimo, iż odległość szyn jest na tych linjach mniejsza, niż na linjach europejskich, to jednak dźwigają one najcięższe lokomotywy świata, których waga dochodzi do 170 tonn. Reszta wagonów posiada normalną wagę. Najbardziej ciekawym z pociągów luksusowych tej sieci jest „Union Express", który w przeciągu dwudziestu ośmiu godzin przebywa przestrzeń od Przylądka Dobrej Nadzie do Johannesburgu, czyli 1.450 km. Jest to niemałe zadanie, zważywszy, iż od poziomu morza, przy Przylądku wznosi się on w czasie podróży do 2.000 m., w Johannesburgu i że górzysta część jego drogi obfituje w niebezpieczne pochyłości i karkołomne zakręty.

Czy zwierzęta odczuwają ból?

Na pytanie to każdy z nas da odpowiedź twierdzącą. Każde zwierzę odczuwa ból, ale nie wszystkie w równym stopniu. Im zwierzę posiada wyższy organizm, tem ból ten jest większy. U zwierząt o niskim organiźmie jest on o wiele mniejszy. Mówimy n. p. „wije się jak robak z bólu". Faktycznie, jeśli przetniemy dżdżownicę, to część jej tylna wije się. Natomiast część przednia, posiadająca zwoje nerwowe, pełza dalej, jakby nic się nie stało. Co więcej, jeśli tę tylną część znowu przetniemy, to znów przedni kawałek, uspokojony, pełza w normalny sposób, a pozostały tylny wije się. Jakżeż więc można stwierdzić odczuwanie bólu przez dżdżownicę i mnóstwo innych robaków.

Nawet u daleko wyżej zorganizowanych organizmów, u owadów, stajemy przed zagadkami psychologicznemi. Oto mrówce, usadowionej na miodzie, można odciąć czułki i cały tułów, co nie przeszkadza przedniej części z głową zajadać miód dalej. Podobnie gąsienica zraniona na swym tylnym końcu, często pożera samą siebie. Pająk zwany krzyżakiem również najspokojniej zjada swą własną wyrwaną nogę.

Amputacje, jakich dokonywują same na sobie jaszczurki i raki, nie zdają się powodować u nich uczuć przykrych. Zastanowić nas musi też stoicyzm kotów a nawet psów, które mając złamaną nogę i skacząc na trzech, nie czynią wrażenia, aby odczuwały zbytnio bólo przy chwianiu się części złamanej. Zatem i u wyższych kręgowców odczuwanie bólu nie jest tak ostre i niema takiego znaczenia jak u ludzi. Istotnie tam, gdzie instynkty i odruchy decydują o zachowaniu się organizmu, tam rola bólu niewielkie może mieć znaczenie.

Życie po śmierci.

Uczeni zajmują się ostatnio bardzo żywo zagadnieniami życia i śmierci. Do niezmierie ciekawych wyników w tej dziedzinie doszedł profesor uniwersytetu w Petersburgu A. Nomiłow. Zdaniem jego wręcz fałszywem jest mniemanie, że człowiek w pewnej oznaczonej sekundzie rozstaje się bezwzględnie i w zupełności z życiem. Wyniki badań rosyjskiego profesora wykazują, że poszczególne organy ciał żyją jeszcze nieraz długo po momencie, który ludzie uważają za śmierć. Faktem jest oddawna znanym, że gdy serce przestało bić w człowieku, włosy i paznokcie zmarłego rossną jeszcze przez czas dłuższy i dokonywano nawet z powodzeniem przeszczepiania skóry człowieka zmarłego na żywego. Eksperymenty, przeprowadzane z skazańcami, przyniosły również ciekawe wyniki, które wykazują, że po stwierdzeniu śmierci, życie jeszcze dość długo pulsuje w ciele zmarłego. Profesor Nomiłow podaje, że u delikwenta, któremu ucięto głowę, jeszcze w 30 minut po wykonaniu wyroku, stwierdzono uderzenie pulsu. Aczkolwiek brzmi to niesamowicie, faktem jest, iż w każdym niemal wypadku składamy do grobu trumnę, zawierającą żyjące cząstki. W każdem ciele istnieją w pierwszych dniach po śmierci żyjące organy, które mogą żyć w dalszym ciągu.

Wśród szeregu eksperymentów w tej dziedzinie, najbardziej przekonywującym jest eksperyment, dokonany w laboratorjum petersburskiem na psie, który żył tam przez szereg lat. Psu temu odcięto głowę, następnie zaś wprowadzono do tętnic mózgu świeżą, gorącą krew psią. Głowa odcięta natychmiast odżyła. Pies otwierał pysk, poruszał uszami, a na zawołanie po imieniu skierowywał oczy w kierunku osoby wołającej.

Najrozmaitsze próby wykazały, że można utrzymać bicie serca poza ciałem, czemu zawdzięczamy w ostatnich latach dodatnie wyniki pracy chirurgów, którzy nie wahają się obecnie przeprowadzać operacji na żywem sercu.

Wiedza postępuje niestrudzenie naprzód i dzisiaj można powiedzieć, iż niema takich organów ciała, które nie dałyby się hodować sztucznie w dalszym ciągu. Fakty te zdają się wskazywać, iż nadejdzie może dzień, w którym ludzkość zatrjumfuje nad śmiercią, z choroby i przedłuży sobie „raj“ ziemski.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **J. S. Pobratymiec** w M.: Nadesłany nam monolog jest zupełnie dobry, ale my z zasady, prócz Maćka, ani monologów, ani utworów teatralnych nie zamieszczamy. Podobizn osób żyjących, jako ilustracji, szczególniej w utworach humorystycznych bezwarunkowo zamieszczać nie można. Czekamy na coś innego. — **Franciszek Lewandowski** w U.: Wszystkie nadesłane nam utwory są zupełnie dobre i znajdą miejsce w „Roli“, natomiast ilustracje nie mają dla nas znaczenia, gdyż trzebaby z nich robić klisze, a te z odbitek wyszłyby bardzo niekorzystnie. Życzenia od miłych mi osób są mi równie przyjemne, czy otrzymuję je 8 maja, czy 13 czerwca; serdecznie więc dziękuję. — **Leon Słowny:** Wiersz, poświęcony Lindberghowi i jego zwycięstwu nad oceanem dobry, ale do „Roli“ niestosowny. Mamy tylu Polaków-bohaterów, więc poco nam jeszcze tak bardzo obcych sławić. — **Piotr Wenc** w S.: „Legendę o targowisku i śmierci“ otrzymaliśmy. — **Kazimierz Ziejka** w G.: Wierszyki, szczególniej humorystyczne, dobre. — **Leszek Marceli Karnowski** w K.: Nadesłane nam wiersze są oryginalne i bardzo dobre. Niestety nie możemy oznaczyć, kiedy je wydrukujemy, gdyż tak mało mamy miejsca na poezje, a więcej go przeznaczyć nie możemy, albowiem nie wszyscy Czytelnicy lubią wiersze. W każdym razie drukowane będą. — **Piotr Leśniak:** Wiersz byłby zupełnie dobry, gdyby nie czwarta zwrotka. Myśl piękna, w pozostałych zwrotkach rym bardzo dobry, ale w czwartej nie, gdyż nie można rymować słów: „wienic-koniec“ lub więdnieje-nadzieją“. — **Szczepan Orzech** w K.: Humoreskę otrzymaliśmy. — **Jan Krawiec** w K.: Często człowiek drobne ukłócia zadawane bliźniemu lekceważy sobie, a często z takich drobnych ukłóć tworzy się wielka rana, którą zagoić trudno. Najczęściej ma to miejsce pomiędzy małżeństwami. O ile tak było, jak Pan pisze, to niechże żona Pańska na Pana nie narzeka, ale sama na siebie. — **Michnik Tadeusz** z Cyranki: Czy Pan „Rolę“ otrzymuje już regularnie? Mamy odpowiedź urzędu pocztowego w Mielcu i zamierzamy sprawę skierować do tamtejszego starostwa. Prosimy donieść nam także, czy Pan ma chociaż wszystkie numera.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 11 maja b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·16 do 1·84 zł.	Jałownik	od 1·16 do 1·80 zł.
Woły . .	od 1·28 do 1·90 zł.	Cielęta .	od 1·36 do 2·00 zł.
Krowy .	od 0·79 do 1·75 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·03 do 2·25 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·50 dc 3·00

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył St. Chromik z W.).

☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rzeka w Polsce.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Roślina.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię żeńskie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Sprzęt gospodarski.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Dzieło Stwórcy.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Naboż. Wielkopostne.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rzeka w Rosji.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto w zach. Małopolsce.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Dekoracja pokoju.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Znak muzyczny.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Harmonijne brzmienie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Najwyższy głos męski.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Pierwszy stopień tonacji.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Inaczej przerwa.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Środek do czyszczenia.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Instrument dęty.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Nazwa części domu.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Ptak.

Litery środkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko sławnego kompozytora polskiego.

2. Szarady.

(Ułożył H. Biłka-Głębicki).

I.

Gdy w całość pójdziesz w lecie,
Zabierz z sobą pierwsze trzecie,
Między wyniosłemi świerkami,
Możesz wesoło zagrać z kolegami,
Upiec, wspak pierwszego! w wodzie go [schwytaj,
A kto on jest, o to się nie pytaj,
Gdy już powracać będziesz do domu,
To rzeknij, drugie, koledze swojemu.

II.

Kiedy Pan Jezus po ziemi chodził,
To pierwsza czwarta, miejscem cudu była,
Nie pili tam pierwszej trzeciej — każdy [w winie brodził.
Druga czwarta srogi ból czyniła. —
Całość nieraz przebyła pustynię Sahary,
Którą tam tworzą liczne dromedary.

III.

Pierwsze trzecie — imię żeńskie znane,
Trzecie jest znowu przyimkiem nazwane,
Wulkan wspak drugie i trzecie znaczy,
Drugie spółgłoska Halo! niech każdy baczy,
Czy to z Krakowa, czy też z innej strony.
Całość nam podaje cudnych muzyk tony.

IV.

Pierwsza druga w Afryce kraina —
Trzecia pierwsza, miejscowość biblijna,
Całość imię dziewczyny zdrobniałe bywa,
Niech mi kto powie jak się nazywa?

3. Przestawianki.

(Ułożył „Yoga“ z K.).

Krzyś Rej wisi.

Mów: branka lej!

Kat Rok soli krowy.

Lejesz sok Genusi U.

Z powyższych zdań ułożyć imiona i nazwiska komandorów marynarki wojennej Polski.

4. Układanki.

(Ułożył Adolf Liebeskind z K.).

Roślina + zaimek = miasto.
Niewolnik + samogłoska = rzeka.
Ptak + imię męskie = małpa.
Poeta + spółka w skróceniu = państwo.
Ryba + samogł. + zaim. = góry.
Drzewo + więzienie = miasto w Europ.
Czynność mózgu samogł. + zaim. = zawód.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 26 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 19 „Roli“: 1. Logogryf: Nasz Pan Yoga z K. mistrz na zagadki. 2. Szarady: I. Witaminy. II. Listopad. 3. Zagadka: Polska. 4. Przestawianki: I. Kwiecień, gdy suchy, nie daje dobrej otuchy. II. Jeszcze w kwietniu zimno i na żaby i na baby i na las, a najwięcej na nas. III. Chcesz mieć kęs płótna dobrego, siej len w św. Jerzego. 5. Łamigłówka w kwadracie: Burak-ugoda-rower-adept-karta.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Józef Niegłos z K., „Yoga“ z K., I. Zajączkowski z S., Marja Krawczykówna z K. i Henryk Biłka-Głębicki z St.

Nagrody wylosowali pp.: Marja Krawczykówna i Józef Niegłos.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**

W drukarni »Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Za wielkie wymagania.

— Wiesz, pani Kazimierzowa jest jednak brzydka co się zowie.

— Brzydka? Nie, zdaleka ujdzie.

— No wiesz, nie można chyba wymagać, aby człowiek drapał się na Mont Blanc, ile razy musi na nią spojrzeć?



Nie wstydzi się.

— I nie wstyd ci siedzieć w jednej klasie trzy lata?

— Ja tu żadnego wstydu nie widzę. Nasz nauczyciel łaciny taki mądry, a ile on lat siedzi już w naszej klasie? Ośm! i nie wstydzi się!



Daremne strachy.

Żona (do męża, powracającego późno z karczmy): — Poczekaj ty pijaku, włóczęgo nocny, jak umrę, to zawsze duch mój o północy przyjdzie cię straszyć!

Mąż (ze spokojem): — Daremne twoje pogróżki, bo o północy nigdy mnie w domu niema...

Na ulicy.

Noc. Dwóch zawianych wraca nareszcie do domu.

— Czy idziesz pan w tę co i ja stronę?

— Mów mi: obywatelu, a nie pan!

— A dlaczego?

— Jestem obywatelem, bo się „obywam“ bez bardzo dużo rzeczy.



Sportmen.

Janek ożenił się zaledwie przed sześciu miesiącami, a już żonka robi mu gorzkie wyrzuty, że jej nie kocha, że sport go bardziej zajmuje, niż miłość.

Janek oczywiście kocha żonkę, ale przepada i za piłką nożną.

— Jestem pewna, Janku — rzecze do niego żona — że tak jesteś pochłonięty grą w piłkę, że zapomniałeś datę naszego ślubu.

— Jak możesz być tak dalece niesprawiedliwą, by mnie posądzać o coś podobnego? — protestuje Janek. Było to w dniu, w którym poznańska „Warta“ pobiła Niemców.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 4 maja b. r.

Pszenica .	58·00—60·00	Słoma długa	10·00—12·00
Żyto .	54·00—55·00	Ziemniaki stoł.	9·00—10·00
Owies . .	47·00—48·00	Koniczyna nasienn. czer.	340·00—350·00
Jęczmień .	46·00—48·50	Otręby żytnie	34·50—35·00
Łubin żóły	27·00—28·00	Mąka żytnia	78·50—79·50
Fasola biała	58·00—62·00	Mąka pszen.	92·00—93·00
Groch zwyk.	59·00—61·00	Otręby pszen.	34·00—35·50
Siano słodk.	18·00—20·00	Mąka czerw.	38·00—39·00
Koniczpastew	22·00—23·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.